3

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK V. Nr 11 (50) WARSZAWA, 12 GRUDNIA 1925 R. CENA NUMERU 80 gr.

WŁADYSŁAW REYMONT

TRZEBA sobie wmówić spokojny sposób patrzenia na dzieje społeczeństwa, aby się nie przerażać śmiercią wielkich twórców. Istotnie bowiem ogarnia strach, gdy padają jedna za drugą kolumny, w których widzieliśmy umocowanie swojego stropu. Tak smutno pomyśleć, że w świeżej żałobie po Żeromskim idziemy za trumną Reymonta! Przygnębienie tem większe dla pokolenia, które za najgórniejszy szczebel twórczości uważało sztukę, a w tej sztuce największą wagę nadało powieści. Ustała na zawsze praca dwu talentów, dających blask polskiemu życiu.

Żeromski i Reymont! Spotkali się na miedzy, dzielącej dwa pola dziejów myśli polskiej, dwa następujące po sobie historycznie układy stosunków społecznych. Rówieśnicy, zdawałoby się z jednej szkoły życia koledzy, a jednak są różni. Żeromski ostatni z szlachty, Reymont pierwszy z ludu. Żeromski, gdyby przyszedł na świat w XVIII wieku, byłby pisarzem klasycznym, trochę później—byłby poetą romantycznym; że przyszedł pod koniec XIX wieku—był społecznikiem; ale w każdym czasie tworzenia miałby jedno: patrzyłby na świat z góry, z wyżyn tej góry, którą już cywilizacja przebyła i toby powiększało jego mękę, gdyby, z żywymi naprzód idąc, musiał (jak było istotnie) zaprzeczać swojej cywilizacji, buntować się przeciw niej i szukać form nowych. Reymont wyszedł naprzeciwko i choć spotkał się z Żeromskim, to inaczej z tego samego punktu na świat patrzył. Dyspozycje jego psychiczne były inne: ponad wszystkie inne motywy patrzenia — górowała w nim c i e k a w o ś ć. Żeromski szedł z góry, on szedł z dołu. Synowie jednej ziemi, w jednej atmosferze wieku, uczniowie tej samej ostatnio przeczytanej ksiażki, inne mieli dyspozycje, powiedzmy, naładowania dziedziczne. Szli duchem z przeciwnych stron.

Było dobrze i źle, ale co będzie?—gryzł się Żeromski.—Co będzie, poczekamy; co było, nie wiem. Chcę patrzeć, co jest—mówił Reymont.

Oto proste schematy twórców literackich na przełomie epoki. Nieprzeparta ciekawość, siła pierwszego wejrzenia—to cecha człowieka nowego, która go czyni artystą z Bożej łaski, jeśli ma talent i pochwyci środki tworzenia.

Gdy się mówi, że Reymont był tym, który odkrył w literaturze chłopa, to trzeba to rozumieć w sposób oględny. Reymont odkrył nietylko chłopa, pokazał nam człowieka wogóle, na którego patrzyli się inni pisarze, ale pokazał inaczej. Reymont nie mógł odkryć okiem nieuzbrojonem bardziej skombinowanych tworów cywilizacji, ale pochwycił, jak nikt, ze strony biologicznej każdy typ i każdą sferę, gdze grały instynkty pierwotne, przedewszystkiem żądza zdobywcza życia.

Oczywiście najwięcej miał do powiedzenia o sferze wiejskiej, która również była już „odkryta"; przedstawił ją tak, jak ją widział swojem gołem okiem. Nowy był nie chłop, lecz pisarz. Ci, co szli przedtem do chłopa, mieli szkła zakopcone romantycznie, społecznie, naukowo. Reymont grał w sztuce *prima vista*, nie miał, biorąc się do pióra, innego motywu, tylko pragnienie pokazania, jak się widzi rzeczy. Wielce mu sprzyjał literacki duch czasu. W świat literatury wciągnął go panujący w jego młodości naturalizm. Uważamy zwykle naturalizm za upadek sztuki dawnej, podczas gdy oznacza on początek sztuki nowej. Nowi ludzie, wszedłszy w krąg światła cywilizacji, spostrzegają rzeczy na nowo i wywierają na nich swoją ciekawość w sposób naturalistyczny. Panująca w czasach młodości Reymonta szkoła Zoli, bardzo w Polsce czytanego, dała sankcję wielu talentom. Realizm wogóle jest najprostszym sposobem wciągania w praktykę sztuki ludzi świeżych, nie nałożonych przez kulturę do ujmowania świata ze strony jego symboliczności. Zapewne, gdyby Reymont przez szkoły i pracę wewnętrzną odbył skróconą drogę dziejów myśli tak intensywnie, jak Kasprowicz, mielibyśmy inne zjawisko twórcze. Ale w powieści, jako przejście do nowych jej form, potrzebny był Reymont ze swą bezpośredniością, aby postawił na przełomie pomnik, wyobrażający, jak rzeczywiście wyglądało to, z czego poczęła się rodzić Polska odrodzona. Potrzeba było jego wejrzenia gołem okiem, gdy umysłom, zamroczonym doktrynami, obcemi wzorami sztuki oraz nałogiem myślenia kategorjami dawnej poezji romantycznej,

najtrudniej było ustalić sam fakt polskiego bytu, fakt rasy, jej żądzy życia.

Owa ciekawość Reymonta była wykładnikiem umysłowym żądzy życia. Kogokolwiek przed nim wymienimy z twórców, każdy miał jakąś ciekawość kwalifikowaną. Najbliższy mu Dygasiński miał teorje naukowe (Darwina), które sprawdzał, Prus rozwiązywał pewne zagadnienia etyczne, Sienkiewicz szukał wątków cywilizacji ogólnej i narodowej, Żeromski był społecznikiem, kto inny ma specjalne „zmartwienia" czy cele artystyczne; Reymont miał czystą kliszę, nastawioną na chwytanie życia na gorącym uczynku. Działał jednym syntetycznym organem — zmysłem wyczuwania życia. Wyczuwał je we wszystkich odcieniach, postaciach i stopniach natężenia. Jego wyobraźnia syciła się w źródle wszystkich stanów psychicznych, w tem jednem, żądnem swego słowa, elementarnem, biologicznem: być. Dumny z siebie musiał być myśliciel, który ukuł formułę: *primum vivere, deinde philosophari*. Ale w tych słowach stwierdził tylko porządek odwieczny cywilizacji. Naprzód fakt życia z instynktami, potem myśl. A jakież myśl ma zadanie? Zrozumieć prawa życia. Wyprzedza zaś myśliciela intuicja, dana poetom, mowa samego faktu życia, mająca w poetach swój organ.

Stajemy zdumieni nad dziełem poetyckiem Reymonta, skąd wziął moc prawdy życia. Skąd taki umysł? Dwa są systemy kształtowania duchowego: jeden naturalny, oparty na pracy wieków w porządku t. zw. doboru naturalnego, system, który dotąd zapewniał cywilizację ludowi polskiemu, drugi sztuczny, intensywny, szkolny w szerokiem znaczeniu. Kto sobie lekceważył tamten empiryczny dorobek wieków, ten nie rozumiał, że drugi niema nic innego do dokonania, jak naśladować tamten. Cała zaś tajemnica budowy naturalnej polega na tem, że jest scałkowana i funkcjonuje pod przewodem woli życia. Taki tylko układ stać na wyobraźnię Reymonta. A taka wyobraźnia cuda może zdziałać zarówno w sztuce, jak i w życiu, jest bowiem wykładnikiem żywotności, rozcinającej wątpienia, w których się wikła intelektualista.

Wyjątkowemu złożeniu okoliczności historycznych zawdzięczamy taki twór cywilizacji, jak Mickiewicz. Był to szczęśliwie utrafiony przez szkołę, nie zepsuty przez nią, ale spotęgowany typ umysłu naturalnego. Drugi taki typ—jeszcze bardziej pouczający dla twórców cywilizacji—to Kasprowicz. A potwierdzeniem tamtych jest Reymont. Na nim widzimy do jakiej genjalności może dojść umysł wiernie na typ ludowy nastawiony, mający w podstawie psychicznej zmysł życia, wysunięty na czoło wszystkich innych uzdolnień. Ten typ przez wykształcenie harmonijne władz umysłowych i moralnych, ale utrzymany w normie, zapewnia wielkość jednostkom i narodom. Tylko wyobraźnia woli życia jest twórcza, wyobraźnia po linji: być, działać, doskonalić się, zbawiać. U źródła swojego ten twardy typ być wydaje się zaprzeczeniem prometeizmu jako egocentryczna chciwość życia, ale w rozpięciu wyobraźni na naród staje się dla jednostki prometeizmem, a siłą twórczą dla narodu.

Reymont całe życie trzymał rękę na pulsie polskim. Obcy mu był partykularyzm, a co ważniejsza — partykularyzm literacki. Duszno mu było w świecie kawiarni, salonu literackiego, nawet bibljoteki, w świecie, który chętnie wytwarza koło siebie brać literacka, czując się w nim, jak na Parnasie. Szukał bezpośredniego zetknięcia się z życiem, w którem czytał, jak w księdze, zgłoskami. Z masy zjawisk, które innych nużą, które innym myśl błąkają, wyłamywał na rzut oka kształty zjawisk typowych. Michał Anioł patrzył tak pewno w skały marmurowe, lubując się kształtami, które mu wyobraźnia szkicowała.

Tem się tłumaczą np. „Chłopi", to dziwne w naszej dobie dzieło. Podczas gdy rówieśni poeci zasłuchani w hasła literackie, filozoficzne i społeczne, modernizowali po pracowniach i kawiarniach duszę polską — Reymont ucieleśniał powziętą przed laty ideę posągu chłopa polskiego.

Z ludu wyszedł i umiłował go, jak artysta, nie dla tego, że lud stanowi temat egzotyczny i barwny po malarsku, nie dla tego, że współczuł mu humanitarnie z wyżyn sfery uprzywilejowanej, nie dla ciekawości wreszcie etnograficznej, ale dlatego, że mu grały w duszy, na prawach symbiozy, tego ludu wewnętrzne procesy życia.

Są artyści wrażliwi na dźwięki, innych porywa przedmiot barwą, kształtem, ruchem, ale najrzadsi są ci, jak Reymont, którzy mają zmysł samego procesu życia, który słuchając „jak trawa rośnie", radują tem swoje serce artystyczne. Siła i bujność wegetacji, upór trwania i obrony, rozum przyrodzony w szukaniu dróg rozwoju, genjusz gatunku, nawiązujący tradycje do ideału dnia, gotów zawsze złożyć krwawą ofiarę z jednostek na rzecz życia powszechnego — oto co porywa wyobraźnię artystów, obdarzonych zmysłem takim, jak Reymont. Ci są organami zmysłu historycznego w społeczeństwie; tym dano słyszeć, jak rośnie naród...

„Chłopi" Reymonta to wielki blok przyrody, ale zarazem to żywe ciało organizmu narodowego. Nie przyrodnik je badał, ale współżyjący duch. Reymont wciągnął się przez lud w życie narodowe. Potrochu budził się w nim zmysł polityczny i historyczny. Gdy naród zagrożony był utratą Chełmszczyzny i w aktach szukał tytułu swoich praw historycznych do tej ziemi, — Reymont udał się na grunt i doszukał się tych praw narodowych w poczuciu ludu. Pokazał dzieje Chełmszczyzny w przekroju duszy jej mieszkańca.

Reymont ze swoim niepospolitym zmysłem rzeczywistości i darem wyczuwania tętna żywego wyczytał w tej ziemi i jej dzieje i aspiracje. Unaocznił nam ziemię Chełmską, że mogliśmy ją zdaleka widzieć, czytać jej poezję życia i wzruszać się tego życia dramatem. Taki badacz-poeta — to twórca dokumentów bytu narodowego.

Pamiętam — było to w r. 1910 — jak przywiózł z sobą do Lwowa pracę „Z ziemi Chełmskiej". Opowiadał z temperamentem sposób, w jaki podróżował od wioski do miasteczka, od chaty do plebanji, aby coś widzieć. Pytałem go, co po „Chłopach" zamierza pisać.

— Powieść historyczną — odrzekł.

Poruszony, odrzucił nerwowo obu rękami (ruch charakterystyczny Reymonta) włosy od skroni i rzucił okiem

na obecnych, jakie to zrobi wrażenie. Wiedział, że każdy będzie zdziwiony. Pytałem, co to będzie. Miała to być trylogja taka: rok 1794 — 1830 — 1863. Wydało mi się to w twórczości Reymonta logicznem: „Chłopi“, „Z ziemi Chełmskiej“, studja poprzednie nad społeczeństwem nowożytnem polskiem, jak „Ziemia obiecana“ — to były przygotowania do epopei Polski nowożytnej. Miała to być historja jednego rodu polskiego w trzech pokoleniach...

Co porywało Reymonta znowu do tak kolosalnej pracy? Czy strona batalistyczna, żądza snucia przygód? Z opowiadania jego, z kilku urywanych wyznań było widać, że paliła się w nim żądza pokazania społeczeństwa, które zna, którem żyje — w jego ewolucji ostatniej. Miały to być dzieje powstania nowożytnego społeczeństwa polskiego. Pociągał go w tę stronę nie kult dla tej lub innej postaci historycznej, czy też dla jakiegoś szczególnego momentu wydarzeń, lecz ogół zjawiska, cały proces ruchu narodowego, jako trójakt dramatycznego wysiłku życia.

To było w jego wyznaniach charakterystyczne, że właściwie pałał chęcią dokonania studjum nad szlachtą polską. Po chłopach — szlachta. W dziejach nowoczesnych widział chlubną kartę życia szlachty, która zalewała się krwią w powstaniach.

Czyż to nie wielki i nie przepiękny akt ekspjacji ze strony tych, którzy dotąd za dzieje narodu odpowiadali!

Rozmowa ta odsłoniła mi Reymonta więcej, niż widziałem go w studjach o nim pisanych.

— Oto — mówił — ofiara krwi, którą społeczeństwo przejść musiało, aby stać się godnem życia nowego, to znaczy, aby módz myśleć i czuć jako jedno ciało narodowe, jedna samowiedza. Takie stulecie, to wielki krok w formowaniu się narodu. On może spać politycznie lat dziesiątki, ale gdy nadejdzie chwila sposobniejsza, budzi się i oto teraz widzimy, że lud polski wszedł już w prawa obywatelskie radzenia o dobru Rzeczypospolitej.

Wspaniała rasa — dodał Reymont. — Oczom wierzyć się nie chce, jak ten lud przechował instynkty polityczne od Piasta i hodował je w sobie tak, że dziś jest na poziomie narodu cywilizowanego, niczem nie różny od sfer inteligencji w traktowaniu spraw narodowych, a wyższy od niej żywotnością, wolą życia.

Rozmowa z Reymontem przypomniała mi dawne roztrząsania literackie o naturze eposu, którą pojąć usiłowano, jako kategorję stylu literackiego. Epos zaginął, bo w czasach nowożytnych coraz trudniej o materjał. W Polsce, na podziw krytyce, w czasach nowożytnych literatura miała epos (Mickiewicz) i zbliżała się do niej bardzo blizko w Sienkiewiczu. Nowego przedstawiciela miał ten epos teraz w Reymoncie. I tu jest nauka dla krytyki literackiej. Nie o materjał do eposu trudno, ale o takie **współżycie** pisarza z narodem, które umożliwia poezję tego typu. Jest to poezja narodu, jako samowiedzy zbiorowej, mający w pisarzu swój organ. Nietylko lud związał się w tem stuleciu walki ofiarą krwi z ideą narodową; związał się z nią przedewszystkiem poeta narodu. Eposu nie pisze się w pracowni z kronik, dla barwności malarskiej chwil przeżytych. Epos — to **przeżycie** tych chwil poety z narodem, jako masą. Tak sposobił się do Eposu swego Mickiewicz całem życiem swojem od ławy szkolnej do lat tułactwa. Nie tylko kochał naród, ale go znał. Czasy szkolne Mickiewicza — to lata studjów nad Litwą we wszystkich sferach, którędy przenikał dreszcz epoki Napoleońskiej i nadziei polskich na przyszłość. Epos — to coś więcej niż literatura; to oddanie się twórcy poecie zbiorowemu—Życiu.

Na twórczości Reymonta widzimy, jak się odbywa proces przełomowy odświeżania społeczeństwa nowemi siłami. Z górnych sfer cywilizacji idzie znużona, rutyniczna lub niespokojna od wątpień myśl analityczna, idą dzieci Hamleta, Manfredy rodzime, hrabia Henryk, Płoszowski, lub jeszcze gorzej—ci z piosnką: *Vogue la galère*, wszyscy rozłamani pytaniem: Być czy nie być... A naprzeciw idzie fala odrodzenia, fala Reymontów i Kasprowiczów, pokonywująca wątpienie i śmierć swojem afirmatywnem, nakazującem: **być!**

Z. WASILEWSKI

...ŻE TAKI WIELKI POSĄG — Z JEDNEJ BRYŁY...

(O ŻYCIU I TWÓRCZOŚCI REYMONTA SŁÓW PARĘ)

JEŻELIBY chodziło o to, by naturę, życie i twórczość Reymonta jednym tylko określić wyrazem, użyłbym epitetu: bujny. Przymiotnik ten polski, którego na żaden język dokładnie przełożyć niepodobna, właśnie przez swą żywiołową wieloznaczność streszcza wszystkie cechy Reymontowego genjuszu, który mimo nieprzebranego bogactwa swych zasobów był przecież zjawiskiem bodaj że najbardziej spoistem i jednolitem w naszej literaturze. Bujny był to genjusz, bo wyrósł samorodnie z ziemi-macierzy, z którą przez całe życie był zrośnięty i z której czerpał zawsze soki odżywcze; bujny był, bo wyrastał bez hodowli, jak te kwiaty polne — zrazu się niejednemu zielskiem wydawał jałowem, a potem oko krasą barw zachwycał. Bujna była twórczość Reymonta, bo w ciągu trzydziestu lat wzbogaciła literaturę naszą nietylko szeregiem arcydzieł, ale i mnóstwem niebywałych przedtem, nowych, rodzimych pierwiastków, nieznanych innym narodom. Bujna była jego wyobraźnia — i u nikogo chyba tego daru ducha nie nazwano tak słusznie *wyobraźnią*, bo nikt nie umiał tak wyraziście, żywo, prawdziwie *wyobrażać* sobie tego, co widział lub tworzył, a jednocześnie wywoływać *obraz* żywy, dotykalny przed oczyma czytelnika (rzecby się chciało—widza). A wreszcie o Reymoncie godziłoby się powiedzieć (jak mówi Słowacki o jednym ze swych bohaterów) — że żył bujnie.

Grzymała-Siedlecki w swem pięknem studjum o Reymoncie za klucz do zrozumienia sposobów twórczych wielkiego powieściopisarza poczytuje jeden epizod jego życia, a mianowicie niedługi pobyt w trupie wędrownych aktorów. „Reymont, znakomity powieściopisarz, pisze swoje postacie i charaktery tak, jakby je grał na scenie, gdyby miał genjalny talent aktorski“. Przyznając zupełną rację powyższym słowom najlepszego z krytyków, ja-

cy pisali o Reymoncie, chciałbym je tylko nieco uzupełnić. Jeśliby chodziło o wyszukiwanie analogij w tym względzie, porównałbym Reymonta z Szekspirem — nietylko dlatego, że i ów miał być aktorem, ale przedewszystkiem dlatego, że jak Szekspir (choćby to był i rzekomy Bacon) tak i Reymont był doskonałym obserwatorem i znawcą życia... z pierwszej ręki. Obaj znali doskonale życie, bo je—sami przeżyli i sprawdzili na sobie. I obaj żyli — bujnie.

Życie Reymonta to istny materjał do powieści. Któryś z (nielicznych) monografistów nazwał je „frapownem". Czegóż on w życiu nie doświadczył, czegóż nie próbował? Był nietylko (dwukrotnie) aktorem. Z większą słusznością, niż Kochanowski w jednej z „Fraszek", mógłby się przyrównać do wiecznie zmiennego Proteusza. Był praktykantem rolniczym, „cichym oraczem", a potem— „czemuże nie z mnichy?" — nawet nowicjuszem paulińskim, niczem ukochany przezeń Michał Wołodyjowski Sienkiewicza! Bywał urzędniczyną kolejowym z pensją mniejszą od najlichszego z kolejowców dzisiejszych... Wszystkiem tem był, zanim oficjalnie zaawansował na „literata". Talent pisarski oczywiście nie jest wynikiem tych „poprzedzeń" — bo przyniósł go Reymont ze sobą na świat.

Ważne jest to przedewszystkiem, że urodził się na wsi — w Kobielach Wielkich, w Sieradzczyźnie (6 maja 1868). Mimo to za błędne uważać należy częste twierdzenie, jakoby późniejszy autor „Chłopów" miał pochodzić z rodziny chłopskiej; przeczy temu zarówno nazwisko jego własne*) (zdaje się mieszczańskie), jak i jego matki (Antoniny z Kopesyńskich). Wyświetlenie pochodzenia jego rodziny byłoby rzeczą wielce ciekawą i przydatną. W każdym razie był synem wsi i zżyty z nią— biedą, przywiązaniem do miejsca urodzenia, a wreszcie i ową ciekawością, jaka jest przymiotem ludzi wyższej inteligencji i talentu, zrodzonych wśród ludu, że wspomnę tylko dwa analogiczne przykłady: Dygasińskiego i Tetmajera.

Twórczość swą literacką zaczął od przygodnych spostrzeżeń. Tak bowiem nazwać można pierwsze jego nowele: „Wigilja Bożego Narodzenia" (drukowana w krakowskiej „Myśli" 1893), „Suka" (w „Prawdzie"), a zwłaszcza „Śmierć". Ostatnia z nich ogłoszona w warszawskim „Głosie" — wzięta z życia ludu — najbardziej jest charakterystyczna dla późniejszej twórczości Reymonta. Cechuje ją brutalny realizm, przewyższający w tym względzie nietylko sienkiewiczowskie „Szkice węglem" (które rzeczy najdrażliwsze istotnie tylko „szkicują"), ale i młodzieńcze opowiadania chłopskie Kasprowicza.

Pobyt pierwszy w Warszawie (1893—94) choć był okresem największej może nędzy materjalnej początkującego nowelisty, był równocześnie podstawą jego późniejszej wielkości. Tu Reymont otarł się o ludzi, wyszlachetniał kulturalnie; tu uznano po raz pierwszy jego talent, a pierwsi poznali się na nim ludzie, z którymi odtąd dozgonnie ideowo był zbratany — pisarze zgrupowani koło „Głosu". Stąd wreszcie Reymont wyruszył powtórnie — do ludu, który poznał wówczas dokładniej i z innych stron; mówię o pielgrzymce częstochowskiej. Dodam, że „Pielgrzymka do Jasnej Góry" (1894) była pierwszą książką Reymonta (pierwotnie drukowana w „Tygodniku Illustrowanym").

Drugą książką była „Komedjantka" (1896 — pierwotnie na łamach „Kurjera Codziennego")—opowieść osnuta na wspomnieniach innej, zgoła świeckiej pielgrzymki... z teatrem wędrownym (zużytkował je wkrótce w „Lili"). Były też tam i obserwacje z czasów służby kolejowej; miał je później jeszcze sobie przypomnieć i w „Marzycielu". Ciągiem dalszym losów komedjantki, Janki Orłowskiej, były „Fermenty" (1897). Równocześnie, jako autorowi już głośnemu, łatwiej przyszło Reymontowi wydanie pierwszego tomu dawniejszych (tudzież kilku nowych) nowel i szkiców pod ogólnym tytułem „Spotkanie".

Do Łodzi zaprowrowadziło Reymonta zapewne zamiłowanie w obserwacji życia, które w tem szybko rosnącem mieście tętniło, jak mało gdzie; ale „Ziemia obiecana" (1897 — 1898) jest czemś więcej, niż obserwacją— jest to walka o byt plemienny. Ziemią obiecaną był niegdyś Kanaan dla — Żydów; uosobił ich Reymont w postaci Moryca Welta. Równocześnie inne jeszcze niebezpieczeństwo: „król bawełny" Bucholtz jest faktyczną forpocztą innego króla... de Prusse. Rozumiał to już wtedy późniejszy autor „Na Niemca". Warto też wspomnieć, że fabrykanci niemieccy wymogli na cenzurze rosyjskiej skreślenie kilku tysięcy wierszy „Ziemi obiecanej".

Lata wyjazdów za granicę pogłębiają jego talent, ale zrzadka tylko dostarczają mu tematów do opowiadań lub szkiców z życia cudzoziemskiego („Los Toros", „Komurasaki", „W palarni opjum"); jedyną powieścią z tych źródeł jest późniejszy „Wampir" (19 1), zajmujący zgoła odrębne miejsce w dorobku Reymonta ze względu na treść — spirytystyczną. Pozatem twórczość jego wraca znów do życia ludu, czego owocem jest szereg nowel. Najdłuższa z nich „Sprawiedliwie" (1899) jest równocześnie najlepsza, a ponadto ważna z tego względu, że stanowi (jak to dawno orzekła krytyka) jakby zapowiedź „Chłopów".

„Chłopi" mieli być zrazu „zwykłym, chłopskim romansem" (słowa samego Reymonta), jak „Pan Tadeusz" miał być początkowo sielanką szlachecką w rodzaju „Hermana i Doroty". Jedno i drugie dzieło urosło — w epos. Pisał Reymont „Chłopów" na obczyźnie, jak Mickiewicz „Tadeusza", dlatego też „w całej ozdobie widział i opisywał piękność" kraju rodzinnego. Nie będę snuł dalszych porównań — nieraz już zestawiano ze sobą te dwie epopeje: szlachecką i chłopską. Dodam, że pracował Reymont nad tem dziełem sumiennie i z uporem, jak istny chłop, co „dokumentnie" przeorywa, bronuje, obsiewa, zżyna swą rolę, a potem jeszcze chodzi za pokłosiem. Praca ta zajęła mu cztery lata — co rok prorok: jeden tom, zatytułowany od innej pory roku. Zaczął od polskiej — jesieni. Wydaniu ich hurtownemu odrazu nie mogły sprostać łamy „Tygodnika illustrowanego", tak, iż całość wychodziła stopniowo od r. 1903 do 1909.

Autor „Ziemi obiecanej", choć wszedł na czas jakiś w homeryczność epicką, nie oderwał jednak oka od spraw społecznych i narodowych, od wypadków politycznych. Obchodziła go wojna rosyjsko-japońska („Ave patria"), ruch rewolucyjny i próby konstytucji w Rosji („Z konstytucyjnych dni" 1907), wreszcie i sprawa chełmska. Za książkę „Z ziemi chełmskiej" (1910) znalazł się przed sądem rosyjskim. O unitach chełmskich pisał też później w noweli „Osądzona" (1922 w „Ilustracji").

Autor „Chłopów" podobno stał się pisarzem (już nie raportów, ale nowel i powieści) pod wpływem lektury „Trylogji" sienkiewiczowskiej; nic więc dziwnego, że sam też przedsięwziął pisanie — trylogji historycznej. Za temat miała pierwsze czynne wystąpienie chłopów polskich na widowni dziejowej, pierwsze ich uświadomienie i pierwszy czyn patrjotyczny. Tytuł tej trylogji: „Rok 1794", a poszczególne ogniwa: „Ostatni sejm Rzeczypospolitej", „Nil desperandum" i „Insurekcja". Drukowała się ona

---

*) Od znanego literata, p. Władysława Nawrockiego, mam wiadomość, że właściwe nazwisko autora „Chłopów" brzmiało Rajment. Prof. Nitsch, w książce „Mowa ludu polskiego", stwierdza, że Reymont nie należał do społecznej warstwy chłopskiej, której języka nawet nie opanował, jak opanowali go Witkiewicz, Tetmajer, Stopka, Derdowski i inni.

podczas wojny w „Tygodniku Ilustrowanym", w książkowem wydaniu wyszła dopiero w r. 1919, niezdołała sobie przeto zdobyć takiej wziętości, jaką pozyskałaby, gdyby się ukazała nieco wcześniej, przed wojną. Zresztą, pomimo wielkich zalet stylu, bogactwa szczegółów i niezmiernie interesującej treści, powieść ta wywołuje wrażenie niejednolitości, ponieważ autor poświęca tyleż miejsca okolicznościom ubocznym, co ważniejszym. Jedyna to powieść historyczna Reymonta, a dowodzi ona w każdym razie, że autor miał niebywałe uzdolnienie i w tym rodzaju literackim.

Jednakowoż bardziej był sobą w małych obrazkach z czasów wojny światowej, które ukazały się pod ogólnym tytułem „Za frontem" (1919). Są one jakgdyby nawiązaniem do treści „Chłopów"—zwłaszcza nowela tytułowa, która maluje niedolę ludu, zamieszkałego w pobliżu pobojowisk, a zarazem wielką jego nieustępliwość... bo bohater tej noweli (prawdziwy bohater!) orze rolę ojcowską nawet wśród gradu kul; orze, bo tak mu każe instynkt atawistyczny i jakby jakaś święta, religijna powinność. Jest to jedno z największych arcydzieł, jakie wydał genjusz Reymonta. Zbiorek ten nowel w drugiem wydaniu (Poznań 1924 Biblj. Laureatów Nobla) otrzymał tytuł „Pęknięty dzwon" od prześlicznej alegorji do dziejów naszego kraju, zawartej w utworze wstępnym.

Alegorję zawiera też baśń—a raczej powieść zwierzęca—p. t. „Bunt" (1924), którą pisał Reymont w swym majątku, Kołaczkowie, nabytym po wojnie.

Przedtem ogłosił powieść „Księżniczka" (1923); temat do niej zaczerpnął z życia amerykańskiego, które miał sposobność poznać podczas dwukrotnej wycieczki na Nowy Ląd; po raz drugi (od czasów „Ziemi obiecanej") zainteresowało go życie wielkiego miasta, tym razem życie równie prędko wzrosłego miasta Chicago—stolicy polskiej w Ameryce. Na tem tle rozwija się uświadomienie narodowe młodej Polki, tam zamieszkałej.

Taki jest, ujęty pokrótce, dorobek twórczości Reymonta. Całkowite wydanie jego puścizny (nakład Gebethnera) dosięga już obecnie trzydziestu tomów. Podobno w ostatnich latach pracował nad większą powieścią, jednak zapewne zamiaru swego nie wykonał. W pracy przeszkadzała mu choroba, która niepozwoliła mu w z. r. pojechać do Szwecji, gdy został odznaczony najwyższym zaszczytem świata literackiego—nagrodą Nobla. Po kuracji na południu, po przeleżeniu się w szpitalu, już zdawał się wracać do zdrowia—gdy śmierć zabrała nam jego, a pióro naszej literaturze.

Los mu dał, że po Sienkiewiczu był drugim pisarzem polskim XX w., który mógł o sobie powtórzyć dumne słowa Jana z Czarnolasu:

„O mnie Moskwa i będą wiedzieć Tatarowie
I różnego mieszkańcy świata, Anglikowie,
Mnie Niemiec i waleczny Hiszpan, mnie poznają,
Którzy głęboki strumień Tybrowy pijają".

I los mu dał, że ów wieniec sławy spadł nań wtedy, gdyśmy do grobu odprowadzali zwłoki pierwszego Laureata—Sienkiewicza, tego, co Reymontowi pierwszem był literackiem natchnieniem. I los też zrządził, że śmierć Reymonta wypadła w parę dni nieledwie po śmierci innego z mocarzy naszej literatury — Stefana Żeromskiego. Literatura, co za dni niewoli była nam jedną z najpotężniejszych dźwigni życia narodowego, zstępuje dziś do grobu; pusto dziś i jałowo na tej niwie... Czy znajdą się godni następcy?...

JÓZEF BIRKENMAJER

OSTATNIE DZIEŁO REYMONTA

Motto:

„Nie trzeba w Polsce rewolucji socjalnej. Kto pierwszy znalazł liberum veto, ten pierwszy zniweczy na ziemi rewolucję socjalną".

Stefan Żeromski

OSTATNIEM dziełem Żeromskiego było „Przedwiośnie", ostatniem dziełem Reymonta „Bunt".

Podczas gdy nad powieścią Żeromskiego zaskrzypiało tysiąc piór, gdy każde zdanie z niej, każdą myśl, każdy przebłysk ideowy, każde powiedzenie przygodne rozdziobały kruki i wrony rozkrakały i całe ptactwo świegotliwe rozniosło na wszystkie Polski strony, o „Przedwiośniu" Reymonta, zaledwie bąknął ten i ów, zaledwie mruknął łaskawie tamten, a właściwie cisza. „Buntu" niema, lub jest tem, o czem się nie mówi, nie rozprawia, nie dyskutuje, nie analizuje. Dlaczego? Jak do tego doszło? Skąd się to wzięło? Rozmyślne czy przypadkowe? Werdykt czy grymas?... Zmowa czy niesumienność?... Znawstwo czy stado?

Analizując *crimen*, dochodzimy do rezultatu, że to drugie: przypadek, niesumienność, grymas a przedewszystkiem: stado. Stado czyli psychoza gromadzka. Takich objawów stadowości w naszych plejadach pisarskich bywało i bywa sporo. Stadowy entuzjazm, i hałas, pędzenie na oślep za pierwszym baranem, który egzaltuje lub potępia, albo znów stadowy chłód lodowaty — barany skupiają się w ciżbę i na złamanie karku lecą w drugą stronę.

„Bunt" jest niejako „Przedwiośniem" Reymonta. Główna koncepcja zrodziła się z tych samych niepokojów, przerażeń, przeczuć, jasnowidzeń, z tych samych rozczarowań i rozpaczy. W tych samych nocach bezsennych wpatrywali się w mroki za oknami obaj Łazarze na swych śmiertelnych pościelach. Ten sam zimny dreszcz zgrozy przed tem, co przyjść może, jeżeli tak dalej będzie szło, wstrząsał jednym i drugim. Ta sama odraza, uczuciowa, lechicka do przewrotów krwawych i morderczych, do bratobójczej walki i wojny klasowej, do brutalnego i zwierzęcego wstrząsu rewolucyjnego, takiego, jaki miał miejsce tam, na bliskim Wschodzie, za graniczną ścianą. I jeden i drugi wchłaniał w siebie wszystkie złe wieści i wiadomości dnia powszedniego plugawego—i jeden i drugi załamywał ręce, i jeden i drugi powzięli w osamotnieniu i kontemplacjach niezłomny zamiar, aby raz swymi wstrząsnąć, aby ich przerazić, zaalarmować, zastraszyć, ostrzedz.

U Żeromskiego wzeszła z tego powieść, romans, *j'accuse*, klątwa! Jowiszowy: *quos ego*! Mojżeszowy gniew i tłuczenie tablic dekalogu; u Reymonta allegorja apokaliptyczna, koszmarna fantasmagorja, gorączkowy sen febryczny, niesamowita wizja rewolucji zwierzęcej, nowej, najnowszej, jeszcze niewidzianej, rewolucji już nie trzeciego stanu, a piątego czy szóstego, buntu proletarjatu zwierzęcego przeciw ciemięzcom tyranom... ludziom.

Wielkie memento Reymonta pomyślane jest na większą skalę, a przemyślane głębiej; przeprowadzone atoli dziwnie, dziwacznie, rwanie, kurczowo, rzutowo i wreszcie zerwane przed końcem kilku raptownemi, szybkiemi, pośpiesznemi akordami; rapsodja nieskończona, niedokomponowana, urwana zgrzytliwemi dysonansami. Jest to *torso*. Odłupany fragment ostatni. Atoli to, co jest, tak jak jest, daje literaturze dziś już europejskiej jedną z najoryginalniejszych fantasterji, dręczącą, niepokojącą:

szarpiącą gigantyczną bajkę o przepastnej niedoli człowieka, ale nie *homo sapiens*, tylko człowieka zoologicznego, człowieka może już dzisiejszego, może jutrzejszego, człowieka bezdusznego, człowieka zmaterjalizowanego do szpiku kości, bez ewangelji, bez wiary, bez sztuki, bez ideałów, żyjącego poza prawami Bożemi i poza pięknem, poprostu bydlaka, walczącego już tylko o byt i paszę, jednem słowem człowieka... jutrzejszego.

Bunt bydląt.

Wyzwolenie ostatecznych parjasów kreatury, wyzwolenie proletarjatu czworonogiego z pod hegemonji wszystkich stanów, cisnących nań, z pod hegemonji człowieka-wyzyskiwacza, harpji kapitalistycznej, która ujarzmiła cały stan zwierzęcy i orze nim i jeździ i katuje go i zabija i zeżera masowo i tuczy się nim.

Baryką tego istotnie dopiero katowanego i wysysanego, zeżeranego stanu jest pies, włóczęga bezpański, pies-kundel, „Rex", trybun podwórzowy, szczekacz i agitator, Spartakus zbuntowanego zwierzostanu. Psi Baryka wywabia całe gromady, stada, czeredy, ciżby cierpliwych baranów, krów, koni, katowanych osłów, wilków, lisów, łasic, z lasów, z za opłotków, z obór, ze stajni, z psich bud, z gnojówek, z pól i łąk, bydląt roboczych, wypowiadających służbę wiekowemu ciemiężcy dwunogowi. Ale nie prowadzi tego zbuntowanego bydła na... Belweder, a poprostu w świat, w dale, na południe, czy gdzieś, byle dalej od katów, krzywdzicieli i despotów, od ludzi. Świnie i wieprze, maciory i warchlaki do tego *exodus*, do tej *secessio in naturam* przystępują oczywiście ostatnie... I odbywa się jakaś przedpotopowa wędrówka narodów zwierzęcych. Rex prowodyr prowadzi te coraz to rosnące stada i czeredy do wolności, do szczęścia, do ziemi obiecanej. I wali ten nieprzeliczony motłoch za nim rycząc i wyjąc, tłamsząc się, cisnąc, gryząc i grożąc przez łąki, pola, wody, lasy, przez jakiś pejzaż kosmiczny czy dyluwialny, przedpotopowy czy Dantejski, przez jakieś puszcze i dżungle, chaszcze i mateczniki, doliny i równiny o horyzontach wyolbrzymionych, jakby w czas Sądu Ostatecznego.

Wali ta lawina zwierzęca, płynie szeroko rozlana, wezbrana Wołga wyzwolonych plebejów czworonogich, ślepo ufna, wierna, posłuszna swemu Rexowi. Przyświeca im gwiazda nadziei, że bydło będzie samo sobą już rządziło i nadawało sobie prawa, że bydło obejdzie się bez bata i władzy tych obmierzłych mózgów ludzkich, że przedewszystkiem nie będzie pracowało, nie będzie szło w zaprzęgu, nie będzie słuchało rozkazów, będzie wolne. Ale ziemi obiecanej, ale raju na ziemi jakoś nie widać. Im dalej od władcy człowieka, od człowieka ku władaniu stworzonego, od „dobrego pasterza", im wolności więcej, tem głód większy. Kundel przywódzca wiedzie i wiedzie, ale sam nieszczęsny nie wie, gdzie i jakiemi szlakami, byle naprzód! *vorwärts, avanti, wpierod!*

Bydło, najpierw pijane Sabbatem wolności i radosne, tratujące, niszczące, depcące, teraz już coraz głodniejsze, chudsze, złe, pomrukującemi, zgrzytające kłami, już traci fantazję, zuchwalstwo, cierpliwość i wytrzymałość. Dawniej za bydło myślał mózg ludzki i paszy poddostatkiem bywało. Teraz niema co żreć a *Paradissus* coraz dalej. Bydło ogarnia defetyzm i panika, głucha złość i pasja na... „złego pasterza"... na Barykę. Zwykła linja perturbacyj rewolucyjnych. W wychudzonych, zziajanych, przemęczonych, upadających pod brzemieniem wolności zwierzętach budzi się bestja ludzka? nie, nieludzka bestja. Kto winien? Ten, co z obór, ze stajni, od pełnych koryt i żłobów ich wyprowadził ku swobodom, ku wolnościom, ku poniewierce, ku głodowaniu.

Jakżeż to dobrze i wygodnie było czeredom i stadom przy człowieku, przy mocnych rządach, pod dyscypliną bata! A jak teraz, gdy obiecywana kraina coraz dalej, a zagłada coraz bliżej? I w zbłąkanych czeredach, w zbiorowej zwierzęcej społeczności wzbiera furja buntu teraz przeciw psu uwodzicielowi. Nie prorok to dwunogi, więc go nie kamienują, ale roznoszą na kopytach i herszta rewolty przygniatają racicami aż do zdechu... Byli „niczem, chcieli być wszystkiem", zostali niczem, rozszalałą z niedoli, z rozpaczy czeredą zabłąkanego w obczyźnie bydła. Z porządku, z normy, z pracy i dostatecznego karmu i paszy wpadli w głód, nędzę, w chaos (dzisiejszość?). Psiakrew „Rex" oszukiwał. Trzeba zawracać z tej drogi do przepaści, trzeba obierać innego prowodyra, wodza i „rexa". I obierają... goryla.

Takiem demonicznem szyderstwem kończy się przedziwna allegorja dzisiejszości, to najokrutniejsze i najjaskrawsze prześwietlenie czasów, w których żyjemy. Niby to bajka zwierzęca o „wielkiej rewolucji", nie już „ludzi bezdomnych" a zwierząt „bezdomnych", opowieść o wyjarzmieniu się najbardziej upośledzonej i uciskanej kreatury z pod nacisku i wyzysku wszystkich warstw wyższych, niby to antropomorfizacja zwierząt i podniesienie ich do kategorji Parjasów czworonogich, których uczłowiecza najszlachetniejszy z instynktów i popędów, instynkt wolności... W gruncie rzeczy atoli jest to zoologizacja człowieka, zwierciadło wklęsłe, postawione dzisiejszemu *collectivum*. Niby to bunt „warstwy" zwierzęcej, w której nastąpiło „uświadomienie klasowe", „samowiedza klasowa", zaczem wypowiedzenie posłuszeństwa „burżuazji" wszechludzkiej i „walka klasowa" „*action directe*". W gruncie rzeczy, to rozpętane, rozjarzmione, rozwierzgane, ślepe, głuche, bezładne, na oślep gdzieś ku nieznanemu pędzące i gnające bydło, to tylko dzisiejsza nowoczesna ludzkość, powrotnie barbarzyńska, ateistyczna, zoologiczna, brutalna, stadowa, czworonoga, nawracająca do natury w myśl Rousseau, ludzkość, odchodząca w puszcze mroczne od swych „panów" przyrodzonych. Najpryncypalniejsze dręczące zagadnienie naszych czasów i czasów nadchodzących podane w całej nagości, pierwotności, w prawdzie okrutnej, w fantastyczności koszmarnej, majaczej, ponurej, nieubłaganej, średniowiecznej. Wizja wyśniona jakby z reminiscencji średniowiecznego religijnego flamandckiego malarstwa... z Breughelów, z „piekielnych Breughelów" i ich „Sądów Ostatecznych." Rzecz twórczo poczęta w mrokach, w omroczeniu najbezdenniejszego pesymizmu w momentach definitywnego zwątpienia w idealne wartości człowieka, w opuszczeniu i rezygnacji, w pustelniczem nastroju mizantropji beznadziejnej, w ekklezjastycznem obrzydzeniu życia w *taedium vitae*. To nie ten stan ducha, który dyktował A. France'owi (autorowi „Wyspy Pingwinów") „Bogowie łakną krwi", to nawet nie ten stan, w którym Szekspir pisał „Tymona Ateńczyka", Molier „Mizantropa", to jest ten stan zgorzknienia, w którym Swift Anglik pisał swoją bajkę o koniach...

Ostatnie dzieło Reymonta nie jest „romansem", o nie, niema tam ni „kobietek", ni anegdot, ni scen „rodzajowych" „z życia" potocznego. To nie to, to nie to. Nic „zabawnego" ani „ciekawego". To nie „lektura" ani „beletrestyka".

To Mane—Tekel—Pharisim.

Choć o zwierzętach *„fabula narratur"* to ani to Hamsun, ani Kipling, ani Dygasiński... Ani to o „ichneumonach", „pingwinach", „beldonkach" sielskie „humanitarne" opowiastki. Nie. To jest bezapelacyjnie groźne *memento*, ostrzeżenie i swoich i obcych, rzucone na papier w chwili, gdy wielki pisarz czuje się „sam wśród ludzi", daleki, obcy, inny bo nastygmatyzowany nieśmiertelnością, a wśród śmiertelnych.

Zapewne, że jest w tej książce pesymizm trujący, zarażający, niebezpieczny, deprymujący. Może też ten bezdenny pesymizm i negacja zraziły, odstręczyły, znie-

chęciły. Dla „maluczkich“ i dla prościaków to nie jest. Ale dla dojrzałych, dla myślących, czuwających, no więc i dla mocnych, ta książka jest niepozbędna.

Jakie było ostatnie słowo, ostatnie do nas posłanie autora „Chłopów“? Polaka, którego od dwóch lat czyta, czytała, lub będzie czytać elita inteligencji świata. To przecież chyba bardzo ważne? O artystycznych walorach niech się przekonają i niech je wykażą w estetycznej gwarze inni. Niech stwierdzą, że rozlewności nurtu narracyjnego, takiej lawiny opisowego pejzażowego piękna nie było w żadnym tomie, niech podkreślą, że takich wyolbrzymionych fantastycznie krajobrazów świata nie mieliśmy w literaturze dotychczas nigdzie. Niech podniosą, ile tragizmu, ile znów uczuciowości i liryzmu, ile zapachu ziemi i woni lasów jest w tej niedokończonej, przedwcześnie skończonej... przedwiośnie.

Tu trzeba zwrócić tylko uwagę tych spółczesnych co Go przeżyli, na... jedno. Jeszcze na jedno.

Pisarz, który przed wskrzeszeniem niepodległej Polski dał jednej z powieści swoich tytuł: *„Nil desperandum!“* po sześciu latach niepodległego państwa pisze posępną allegorję, w której grozi zagładą cywilizacji coprawda całej ludzkości, ale wywodzi swe prawo do groźby i opiera swój horoskop, swoje Kassandryczne wróżenie, swoje: *„desperandum“* swoje: „biada! biada narodowi, który... i t. d.“ na tem, co widzi, na co patrzy dokoła u swoich, w pobliżu.

I z tej racji „Bunt“ jest. I „Bunt“ jest w pewnej mierze i do pewnego stopnia Reymonta przedśmiertnem „Przedwiośniem“.

ADOLF NOWACZYŃSKI

POGRZEB

Z nowelki „Śmierć“, pierwszego drukowanego utworu Reymonta („Głos“ w kwietniu 1893 r.), wyjmujemy urywek z pogrzebu chłopskiego. Nastrojem zimowym odpowiada on chwili obecnej, a przypomina u grobu wielkiego pisarza początki Jego talentu. Przyjmował do druku nowelę Jan L. Popławski i od pierwszego rzutu oka w rękopis nie wahał się przepowiedzieć świetnego talentu.

LUDZIE porozdzielali się w gromadki i radzili; stojąc na śniegu i mrozie i przestępując z nogi na nogę. Kobiety, jak czerwone plamy, przyciskały się do ścian, ściskając kolana, bo wiatr zawiewał przejmujący. Rozmawiali cicho i spoglądali na drogę, ku kościołowi, którego wieże, poprzez nagie gałęzie drzew rysowały się na tle powietrza wyraźnie.

Do zmarłego ciągle ktoś wchodził i wychodził. Przez uchylone drzwi błyskały światła żółtych świec, wydłużane przewiewem i migał ostry, czarny profil leżącego w trumnie.

Zapach jałowcu dolatywał razem z pomieszanemi słowami modłów i mruczeniem niemowy.

Ksiądz wreszcie nadszedł z organistą.

Wyniesiono białą sosnową trumną na wóz. Baby zawiodły zwyczajny płacz i cały orszak ruszył, śpiewając, długą ulicą wioski ku cmentarzowi.

Ksiądz zaintonował śpiew i szedł śpiesznie przodem w swoim czarnym berecie na głowie, otulając futrem białą komżę, której wstęgi szeleściały na wietrze... Od czasu do czasu rzucał tylko w powietrze przyciszone, zmrożone niejako, słowa łacińskiej pieśni i znudzonym, a pełnem niecierpliwości krokiem, wybiegał naprzód.

Wiatr szamotał czarną chorągwią, a wymalowane na niej śmierć i piekło chwiały się podrywane na wszystkie strony, jakby poglądając ku domom, przed któremi stały kupkami baby w czerwonych zapaskach na głowach i chłopi z odkrytemi łbami.

Wszyscy się pochylali nabożnie i bili w piersi, żegnając.

Psy pomiędzy opłotkami docierały zajadle; niektóre wskakiwały na kamienne płoty i wyły.

Przez okna patrzyły ciekawie małe, umorusane dzieci i bezzębne, pomarszczone a wydarte, jak góry jesienią, twarze starców.

Gromadka chłopaków w parciankach i granatowych z mosiężnemi guzikami lejbikach, z nogami bosemi w trepach, bez czapek, szła jeszcze przed księdzem wpatrzona w obraz piekła na chorągwi i powtarzała cichemi, przemarzniętemi głosikami tonację:— a! o!.. i ciągnęła ją dotąd, aż organista nie zmienił ją na inną nutę.

Ignac szedł na czele z dumą, trzymając się jedną ręką drąga chorągwi i najgłośniej śpiewając. Czerwony był z wysiłku i mrozu — ale nieustawał, jakby chciał pokazać, że ma prawo do tego, bo dziadka prowadził.

Wyszli za wieś. Wiatr silniej dał się uczuć. Antkowi, którego olbrzymia postać przenosiła wszystkich, włosy rozlatywały się na wszystkie strony. Nie czuł tego, zajęty końmi i przytrzymywaniem trumny na wybojach.

Tuż za wozem szły obie siostry, odmawiając pacierze i mierząc się co chwila zaiskrzonym złością wzrokiem.

— Cucu! a do domu! puńdzies ty ścirwo!—i schylił się jeden z idących, jakby po kamień. Pies, który od samego początku wlókł się przy wozie — zaskowyczał, wtulił ogon pod siebie i zemknął pod przydrożną kamionkę, a gdy się trochę oddalił, zrobił półkole i przypadł do koni, lękliwie idąc dalej.

Łacińskie pienia skończyły się. Baby zaśpiewały piskliwie:

Kto się w opiekę odda Panu swemu...

Głos rozchodził się krótko, mieszany przez wiatr i śnieżycę, która zaczynała się zrywać. Zaciemniło się.

Z pól białych, olbrzymich jak step, poznaczonych miejscami szkieletami drzew, wiatr toczył całe tumany kurzawy i uderzał nimi w gromadkę.

A całem sercem szczerze ufa Jemu...

Brzmiała pieśń, przerywana świstem wichury i częstem a głośnem:

— Wio! wio! malusie! — Antka, któremu zaczynało być zimno.

Na drodze miejscami, od kamieni do drzew, robiły się długie poprzeczne zaspy, rodzaj klinów olbrzymich.

Pieśń się rwała, bo i ludzie niespokojnie spoglądali dokoła na białą przestrzeń. która z chrzęstem, z porykiwaniem jakiemś rzucała się, targana huraganem, kłębiąc się w wały, rozpryskując, tocząc jak fala lub olbrzymie pasma, odwijające się z kłęba, to znów podskakujące i uderzając w twarze orszaku miljardami ostrych igieł.

Większa połowa idących, w obawie większych jeszcze zakurek cofnęła o pół drogi do domu. Reszta zaś z pośpiechem, prawie biegnąc dopadła cmentarza. Sprawili się szybko; dół czekał gotowy. Coś tam zaśpiewali, ksiądz pokropił wodą, zasypali trumnę zmarzniętą ziemią i śniegiem i odeszli.

WŁADYSŁAW S. REYMONT

J. W. Goethe

FAUST

PROLOG W NIEBIE

Pan. Zastępy niebieskie. Mefistofeles. Archaniołowie.

RAFAŁ: W melodji bratnich sfer wszechświata
gra słońce pieśń wieczyście młodą —
torem znaczonym w skrach wylata
i drży jak burza nad pogodą.
Cud niepojęty dany mocą,
zachwyt z serc naszych wypromienia —
dzieła rąk bożych tak się złocą
dziś — jak za pierwszych dni stworzenia.

GABRJEL: W przelocie wartkim niepojęcie
mknie świat — w urodzie niepoznanej —
i w przemian utajonem święcie
dzień z nocą splata naprzemiany.
Pieni się morze w fal zalewie
szturmem zdobywa skalny brzeg,
lądy i morza w burzy gniewie
gna w wieczną dal, sferyczny bieg.

MICHAŁ: Wichrzą się burze — naprzód — dalej
z morza na turnie — z turni w morza —
aż się wykuje z rąk kowali
łańcuch, wiążący przestworza. — —
Żarzą się zgliszcza! — Z błyskawicy
wyrasta gromem ognia słup —!—
lecz Twoi, Panie, posłannicy
czczą cichy przelot Twoich stóp.

(Razem): Cud niepojęty darzy mocą
zachwyt z serc naszych wypromienia —
dzieła rąk bożych tak się złocą
dziś—jak za pierwszych dni stworzenia.

MEFISTO: Panie, władnacy dniem i mrokiem
raczyłeś zejść przed nieba próg —
— patrzysz łaskawem na mnie okiem —
przeto tu staję w gronie Twoich sług.
Nie umiem splatać słów górnie i grzecznie
— niechże niebiańska szydzi ze mnie brać —
rozśmieszyłbym cię patosem bezsprzecznie,
gdybyś się, Panie, nie odu zył śmiać.
Gwiazdami, bezkresami włada myśl Twa boska—
nie znam się na tem; jedno wiem: człowiek się troska!
Ten mały bożek ziemi w życia błędnem kole
pcha swój ciężar w jednakim, upartym mozole;
— rzekłeś: złudę światła mu dam — niechaj go krzepi —
— wierzaj, Panie,—bez tego byłoby mu lepiej—
rozumem złudę nazwał—spaczył ten dar boży —
w rezultacie—jak zwierzę żyje—bodaj gorzej. —
Wybacz Panie łaskawy—lecz tak mi się zdaje—:
podobien człowiek wielce do świerszcza co wstaje
na wydłużonych nóżkach — skacze i rzępoli
i brzęczy skargą zrzędną o tem, co go boli —
— i więcej — ! — gdybyż w trawie siedział! — alećoto
podnosi się—skok w górę!—nosem zarył w błoto!

PAN: Oskarżać jeno umiesz — nic więcej, Mefiście —
pełne niesnaski są twe słowa —

MEFISTO: Rzeczywiście —
nie taję Panie, bardzo źle ludziom na ziemi
i nierad ich uwodzę sztuczkami djablemi —
i tak się sami z dnia na dzień grążą w szarugę.

PAN: Znasz ty Fausta?

MEFISTO: — doktora? —

PAN: — Tak! Mojego sługę!

MEFISTO: Przedziwnie on Ci służy! Myślą nieodgadłą!
Nieczłowieczy jest jego napitek i jadło.
Rosterka gna go w otchłań, spokój ducha płoszy,
pożądań obłąkanych zalewa go fala —
nieba pożąda skrzących gwiazd — z ziemi roskoszy —
w tej zamieszce od Ciebie czucia swe oddala —
jego serce znękane ciągłą wrzawą boju
zapomomniało co miłość i błękit spokoju.

PAN: W tej służbie jego opacznej, w tej myśli opornej
pomocną podam mu rękę — światło wykrzeszę w pomroce —
każde drzewo w ogrodzie zna ogrodnik przezorny
i dokładnie wie, jakie i kiedy wyda owoce.

MEFISTO: O zakład idę — utracisz go Panie —
daj zezwolenie — a ja go w otchłanie
zawiodę zgrabnie i niespostrzeżenie.

PAN: Dopóki żyje na ziemi—wódź go na pokuszenie—
z błędem jest ocenione wszelkie człowiecze dążenie.

MEFISTO: Dzięki Ci Panie, bo umarłym ciszy
staram się nie zakłócać, do grobów nie włażę—
jestem, jak kot, co zdechłej nie dotyka myszy—
słowem—lubię zażywne kształty, pulchne twarze.

PAN: Zezwalam. Czyń, co ci dogadza,
z faustowym duchem — od źródeł i światłości
niechaj odciąga go przewrotna władza
i wywłóczy po drogach pustki i nicości —
lecz bacz, iż pycha we wstyd się przeradza,
gdy stwierdzić musi, że człek szlachetny prawdziwie
poomacku odnajdzie drogę swą szczęśliwie.

MEFISTO: Więc parol! doskonale! — raz dwa się uwinę —
ot poprostu wyprawę już w zanadrzu noszę —
— na cztery strony świata szczęśliwą godzinę
zwycięstwa tryumfalną fanfarą ogłoszę — !—
Wtedy—pozwolisz Panie—aby ten zuchwalec
proch ze stóp moich lizał, jak mój kum: padalec.

PAN: Przychylność moja ciebie zabezpiecza
nienawiść jej nie zgasi ani nie umniejszy;
z rzeszy przekornej, co wiecznie zaprzecza—
sowizdrzał ostatecznie jeszcze najznośniejszy.
Czynność ludzkiego ducha zbyt łatwo wiotczeje—
baczę, aby w lenistwie gnuśnem nie osłabła —
przeto podsycam wolę, podżegam nadzieje
niepokojącem towarzystwem djabła.
Lecz wy, synowie światłości,
zapłońcie pięknem, radością —
wiążcie więzami miłości
serca z wszechświata miłością!
Kędy niestałość się mieni
w wahaniu w rozliczne strony,
lećcie obliczem zwróceni —
stałej udzielcie obrony.

(Zamyka się niebo, Archaniołowie odchodzą)

MEFISTO *(sam)*: Lubię staruszka czasem—i jestem ostrożny
by go nie zrazić niczem—mój spryt go zabawia
— przecież to bardzo miło, gdy pan tak wielmożny
z chudopachołkiem za panbrat rozmawia.

(Koniec prologu).

przełożył EMIL ZEGADŁOWICZ

LIBERUM VETO

Rząd na wspólnej platformie. — Niedobrany garnitur. — Wymowa 500 miljonów. — Rozmowa z ziemianinem. — U nas a w Czechach.—Kim i czem jest obywatel ziemski.—Zagadka cen.

GDY rozbiegła się wieść, że utworzony został rząd parlamentarny, społeczeństwo odetchnęło. Ale gdy wyjechała z kompletem tego rządu „wspólna platforma", a zwłaszcza gdy jego członkowie wykrzyknęli jego hasła, społeczeństwo westchnęło. Zobaczyło bowiem na niej obok ludzi dzielnych również takich *simplicissimusów,* z których możnaby zrobić raczej wszystkie inne użytki, niż ich obdarzyć tekami ministerjalnemi. Ta zdumiewająca a przytem smutna niespodzianka tłumaczy się techniką tworzenia stopu rządowego. P. Skrzyński, fabrykant związków pokojowych niewybredzający w ich składzie i dbający tylko o to, ażeby się dały bodaj na krótko i bodaj mechanicznie zlepić i sprawić mu zadowolenie, przyjął do aljażu te materjały, jakie mu ofiarowano. Strategja zaś stronnictw, jąkających się przy wymawianiu wyrazu: „Polska", nie wymaga wcale, ażeby do rządu wysyłać ludzi najlepszych, ale tylko swoich, a nawet korzystniej wypada delegować poślednich, bo wodzowie partyjni mogą nimi kierować bez obciążania się odpowiedzialnością. Jest to rodzaj redaktorów odpowiedzialnych, których Niemcy nazywają *Sitzredacteure*—odsiadujących karę, od której naczelni i faktyczni są przez nich zabezpieczeni. Drugim powodem głębokiego westchnienia rozczarowanej publiczności było oświadczenie członków gabinetu koalicyjnego, że oni ani na włos dla dobra Po-po-polski nie odstąpią od swoich programów partyjnych, a zwłaszcza nie zrzekną się „zdobyczy społecznych". Jakim sposobem będzie się poruszał wóz rządowy, którego zaprząg ciągnie w rozmaite strony—byłoby przewidzieć trudno, gdybyśmy nie wiedzieli z doświadczenia, że on albo nie ruszy się z miejsca, albo się przewróci. Obie możliwości nie napełniają nas radością i chyba tylko jeden p. Skrzyński będzie z nich—jak ze wszystkiego—zadowolony.

Kto z nas przed wojną czytał sprawozdania giełdowe i artykuły ekonomiczne? Garstka kapitalistów. Dziś czytamy je wszyscy z większem zajęciem, niż powieści policyjne. P. Zdziechowski, ulubiony autor warstw inteligentnych, jako minister skarbu wygłosił w Komisji budżetowej mowę, zapowiadającą zrównoważenie dochodów z rozchodami państwa, wielkie oszczędności i usunięcie drożyzny. Jaki to piękny poemat! Najbardziej wzruszającym ustępem była w nim obietnica, że proponowany przez poprzedniego ministra budżet będzie zmniejszony o... 500 miljonów złotych. Zastanówcie się czytelnicy nad tą gdzieindziej olbrzymią a u nas drobną cyferką. 500 miljonów złotych chciał poprzedni gospodarz kraju wydobyć z biednego społeczeństwa i wydać bez koniecznej potrzeby! Czy my nie śnimy? Jakto, pół miljarda zamierzał zmarnować człowiek, który odszedł z wieńcem „męża opatrznościowego", ze sławą wielkiego reformatora? Jeżeli tu nie zachodzi jakieś dziwne nieporozumienie, p. W. Grabski powinien na chwilę powrócić z za kulis na scenę i wytłumaczyć nam osłupionym, co to znaczy.

O poemacie finansowym nowego ministra skarbu rozmawiałem z pewnym poważnym i krytycznym ziemianinem.

— P. Zdziechowski — mówił on — ma niewątpliwie znakomity plan, ale dla przeprowadzenia go musiałby zyskać współdziałanie przynajmniej dwóch ministrów: rolnictwa oraz przemysłu i handlu. Tymczasem pomijając nawet więzy partyjne tych panów, czego on może się spodziewać od adwokata z Bochni i buchaltera z fabryki Norblina, którzy na dziedzinach swego zarządu wcale się nie znają? Do nich dodać trzeba inżyniera, któremu powierzono niezmiernie ważny dział gospodarstwa państwowego — koleje, któremi on nigdy się nie zajmował? Są to tylko delegaci stronnictw, których wiedza, doświadczenie i zdolności wystarczyłyby zaledwie do udziału w jakiejś konferencji, ale nie do kierowania ministerjami, wymagającemi specjalnych talentów i przygotowań. W tej kombinacji p. Zdziechowski żadnej gruntownej reformy nie przeprowadzi.

Posmutniałem. Więc zapowiedź p. Zdziechowskiego miałaby rzeczywiście być tylko fantastycznym poematem?

— My — mówił dalej mój gość — grzebiąc w naszej biedzie bez porównania się z innemi społeczeństwami, nie mamy nawet przybliżonego pojęcia, w jakiej grzęźniemy nędzy. Świeżo byłem na wystawie rolniczej w Pradze i oglądałem gospodarstwa czeskie. Cóż to za straszna różnica! Widziałem folwarki o bajecznej kulturze rolnej, popieranej przez rząd; widziałem 30-morgowe osady, w których domy były umeblowane lepiej, niż nasze dwory, w których pracę ludzką maszyny zredukowały do minimalnej ilości, w których wozy wyładowywano elewatorami, a sieczkę rznięto elektrycznością, w których samochody i powozy nie były zbytkiem. Widziałem we wsiach stare budynki rozwalane i murowane kosztowne nowe dzięki zapomogom rządowym. Widziałem pracę wytężoną nawet w święta. Nie widziałem zaś naszych ani dróg grzązkich i wybojowych, tylko bite, nie widziałem gromad robotników poruszających się leniwie, nie widziałem narzekań, pognębienia, niedoli, żadnych śladów powojennego zubożenia i ruiny. A u nas? Wszędzie niedostatek, pościg za uciekającą złotówką, miażdżące ciężary podatkowe. Posiadam folwark 30- włókowy, na który nałożono podatku majątkowego 69,700 złotych, na co muszę sprzedać około 3,500 korcy żyta i co przerasta wielokrotnie moją możność płatniczą. Obliczył mi urzędnik skarbowy, że gdyby mój folwark był pocięty w przymusowej parcelacji na działki 15-morgowe, ich nabywcy płaciliby 2,800 zł. podatku majątkowego z tej samej przestrzeni, z której ja płacić muszę 69,700. To się nazywa reformą rolną i opieką nad najważniejszem źródłem bogactwa narodowego — rolnictwem. Dzięki tej opiece jest obecnie gotowych do sprzedaży 95% dóbr ziemskich, których ani w całości, ani częściowo nikt nie chce kupić. Ażeby kraj rolniczy doprowadzić do takiego położenia, na to potrzeba naszej głupoty, naszego bezmyślnego radykalizmu, naszego rozbioru Polski przez partje. Jestem rolnikiem postępowym, pracowitym i rządnym, uczestniczyłem we wszystkich dostępnych mi sprawach społecznych; przed wojną zdawało mi się, że jestem kimś a mój warsztat pracy czemś. Teraz powiedziano mi, że jestem nikim i niczem, że można mnie obedrzeć, zubożyć, wywłaszczyć, że nie mam prawa bronić się konstytucją i uciekać się pod osłonę jakiejkolwiek władzy państwowej. Stałem się ubezwłasnowolnionym skazańcem, martwym przedmiotem samowoli administracyjnej, z którego interesem, życzeniem a nawet życiem nie warto się liczyć. A podobnych do mnie są tysiące, wszyscy zaś mamy dostarczać sił słabej i zamierającej Polsce.

Tyle mój znajomy, autentyczny, nie zmyślony dla ożywienia feljetonu manekin. Pozostawiam czytelnikom ocenę jego twierdzeń, ale podpisuję jedno: potrzebny jest Polsce rzęd sharmonizowany i zdolny do pomyślnego rozwiązania trudnych zagadnień gospodarczych, czego nie dokona „platforma", obsadzona niedobranym garniturem delegatów partyjnych, którzy do niego nie przystają, a o niektórych społeczeństwo pyta: po co oni na niej się znaleźli?

Jeżeli czytelnik wie, że produkty rolne i ogrodnicze są na wsi bardzo tanie a w Warszawie bardzo drogie; jeżeli wie, że np. główka kapusty kosztuje na wsi grosz, korzec kartofli 2 złote, a w Warszawie kapusta 20 gr., kartofle 20 zł., jeżeli wie, że plantacje warzyw są spasane inwentarzem, bo nie warto ich sprzedawać za bezcen; to niewątpliwie zapytuje, skąd ta olbrzymia różnica? W niej właśnie tkwi charakterystyka naszego handlu artykułami spożywczemi. Jest to faktem dla europejczyka niewiarogodnym a dla nas prawdziwym, że miasto miljonowe zaopatrują w żywność przekupki, przywożąc ją w koszach wagonami osobowemi. Do miejscowej zatem ceny produktu dołącza się koszt biletu i straconego czasu. Przy naszych drogich kolejach i równie drogich usługach jest to przyrost ceny zupełnie zrozumiały. Stąd wniosek prosty: chcąc zwalczyć drożyznę, nie można poprzestać na zakazach policyjnych i karach sądowych, lecz należy zorganizować handel w ten sposób, ażeby artykuły żywności przechodziły od wytwórcy do spożywcy drogą najkrótszą, najtańszą i najmniej przegrodzoną stacjami pośredniczącemi, które podwyższają ich ceny. Ale czy te stacje nie należą do „zdobyczy społecznych"? Prawdopodobnie. W takim razie nie ma co mówić o usunięciu ich. Niech „rozdziobią nas kruki, wrony" — jak pisał Żeromski, niech Polska pójdzie w służbę do narodów bogatych, niech ją zeżre nędza, ale próżniactwo, marnotrawstwo skarbu publicznego, bezrobocie dobrze płatnych urzędników lewicowych i inne zdobycze społeczne muszą być utrzymane.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

PO WYBORACH NA ŚLĄSKU OPOLSKIM

W D. 29 listopada odbyły się na Śląsku Opolskim wybory do ciał samorządowych, mianowicie do Sejmu prowincjonalnego i do opolskiego Sejmiku powiatowego. Znamienną ich cechą było słabe zainteresowanie ludności, której przeciętnie zaledwie 50—60% wzięło udział w głosowaniu, gdzieniegdzie zaś procent ten spadł do 40, a nawet 30. Wobec tego porównywując liczbę głosujących, oraz liczbę głosów, które padły przed rokiem w czasie wyborów do parlamentu niemieckiego, przekonamy się, że wszystkie niemal stronnictwa wykazują zmniejszenie się otrzymanych głosów.

Niestety, zmniejszenie takie wykazuje i lista polska. W d. 29 na listę polską do Sejmu prowincjonalnego padło 29,228 głosów, gdy w dn. 7 grudnia 1924 — 41,400. Co gorsza, lista polska straciła względnie więcej, niż listy niemieckie, dla tego zamiast 5 posłów będziemy mieli tylko 4. Będą nimi: ks. Klimas, p.p. Pordzik, Pawletta i dr. Michałek.

Jakkolwiek w układzie sił niewielką to stanowi różnicę, czy rozporządzamy 4, czy 5 głosami na 54, to jednak jest rzeczą bolesną, że tak drobna część ludności śląskiej czuje potrzebę wyraźnego stwierdzenia swej narodowej odrębności. Nie należy zapominać, że większość ludności pozostawionej przy Niemcach części Górnego Śląska jest polską z pochodzenia, ale pozostaje pod wpływem zniemczonej inteligencji, zwłaszcza zaś duchowieństwa. Wynik głosowania z dn. 29 listopada nie daje więc jeszcze podstaw do sądzenia, że liczba ludności polskiej faktycznie się na Śląsku Opolskim zmniejszyła.

Nie należy zapominać, że powodzenie w wyborach każdego stronnictwa zależy wiele od jego siły organizacyjnej i użytych na agitację środków pieniężnych. Otóż systematyczna praca organizacyjna polska jest obecnie w Niemczech trudniejsza, niż przed wojną światową. Siły najbardziej w tej pracy wyrobione musiały przeważnie Śląsk Opolski opuścić. Tworzeniu się sił nowych skutecznie tamę stawia rząd niemiecki, usiłujący utrzymać się w granicach legalnych, w zgodnem współdziałaniu ze społeczeństwem niemieckiem, gotowem posunąć się do najbrutalniejszych gwałtów, a nawet i mordu. Zresztą środki legalne, jak nieprzyjmowanie do pracy i nieudzielanie kredytu, są może skuteczniejsze od brutalnego terroru.

Jak dalece umieją Niemcy wszelką swoją przewagę wyzyskiwać na rzecz niemieckości, mamy tego dowód na naszym własnym Śląsku, a nawet na Pomorzu. Gazety katowickie są wprost przepełnione wiadomościami o tem, że z tej czy owej kopalni wydalono uczestników Związku b. powstańców, lub przeciwnie, że takiemu a takiemu robotnikowi obiecano zarobek pod warunkiem, że dzieci swoje posyłać będzie do szkoły niemieckiej.

Już z powyższego wywnioskować można, na czem polegać winna nasza pomoc rodakom pod panowaniem niemieckiem. Najważniejsze jest umożliwienie wykształcenia szczerze polskiego, inteligencji miejscowej, dopomożenie do powstania polskich instytucyj kredytowych i subwencje dla polskich związków i stowarzyszeń. Rozumieją to zarówno Związek Obrony Kresów Zachodnich, jak i inne stowarzyszenia nasze, niestety same one nie mają dostatecznych funduszów.

Poza tem pamiętać należy, że wszystko, co się przyczyni do wzrostu ładu, porządku i zasobności Polski, wszystko, co świadczy o wzmagającej się jej potędze — jest podniesieniem wzrostu Polski na zewnątrz, jest wzmocnieniem jej siły przyciągającej.

W r. 1923 w czasie najgorszego kryzysu finansowego w Niemczech, były takie chwile, że nawet sfery najwyraźniej niemieckie na Śląsku Opolskim powitałyby życzliwie wkraczające wojska polskie.

HŁ.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

GORĄCZKA WALUTOWA

GORĄCZKA walutowa, która nagle w ciągu ubiegłego tygodnia podniosła cenę dolara do wysokości czternastu złotych, aby po kilku znów dniach obniżyć ją do siedmiu i pół złotego, nie minęła, być może, całkowicie, w każdym razie jednak utraciła dotychczasowy ostry charakter zapalny. Warto więc, mając jeszcze świeżo w pamięci jej przebieg, zastanowić się nad nim i nad płynącem z niego doświadczeniem.

Jakież były przyczyny nagłego i tak gwałtownego spadku kursu złotego, skoro bilans handlowy Polski od trzech miesięcy jest czynny, skoro ani obieg banknotów, ani bilonu, nie został w ostatnich czasach zwiększony? Oczywiście, rozpoczęło się od ataku na złotego na giełdach niemieckich, będącego nową próbą nacisku wobec przedłużających się wciąż polsko-niemieckich rokowań handlowych. Ale wkrótce już okazało się, że kurs dolara w Warszawie, zwłaszcza w obrotach, dokonywanych na t. zw. „czarnej giełdzie", podnosił się o wiele szybciej i gwałtowniej, niżby to mogło wynikać ze spadku kursu złotego w Berlinie czy Zurychu. Przyczyną tego był popyt, niesłychany wzrost popytu na waluty obce, nie spowodowany bynajmniej względami gospodarczemi, ale psychologicznemi, paniką, powszechną „ucieczką od złotego". Po kawiarniach żydowskich, w zakamarkach, zaułkach, gorączkowo kupowali dolary urzędnicy i emeryci, drobni kapitaliści i reprezentanci t. zw. „wolnych zawodów". Po małych miasteczkach, po wsiach nawet, dokonywano tranzakcyj „dolarowych". A „skrzętne" gospodynie, w obawie,

iż złoty z dnia na dzień całkowicie straci swą wartość, skupywały „zapasy", jak na czas oblężenia lub głodu, zwiększając w ten sposób już i tak rozwiniętą spekulację drożyźnianą.

I te fakty właśnie godne są uwagi i zastanowienia. Wykazały one, że instynkty stadne wciąż jeszcze żywsze są i silniejsze u nas, niż u społeczeństw zachodnich, że bardziej, niż one, skorzy jesteśmy do ulegania wszelkim rodzajom psychozy zbiorowej, paniki i t. p. Jednocześnie wszakże okazało się, jak słabe jeszcze jest w społeczeństwie polskiem zaufanie do własnego pieniądza i własnego Państwa. Fakt to bolesny, oburzający, ale właśnie dlatego, że jest faktem, winien być w sposób przyczynowy wyjaśniony. Nie wyjaśni zaś tego faktu stwierdzenie, że od chwili odbudowania Państwa minęło zaledwie lat kilka; trzeba dodać, że w ciągu tych kilku lat kierownicze organy Państwa, Sejm i rząd, niejednokrotnie same do poderwania tego zaufania się przyczyniały przez sprzeczną z poczuciem prawnem ogółu, lewicową doktryną dyktowane, ustawy rozporządzenia i decyzje.

To też głównem zadaniem rządu jest wzmocnienie zaufania społeczeństwa przez politykę odpowiedzialną, wolną od eksperymentów, planową. Pierwsze kroki, pierwsze oświadczenia nowego ministra skarbu p. Zdziechowskiego pozwalają przypuszczać, iż rząd zdaje sobie sprawę z położenia i będzie umiał wyciągnąć wnioski z niewesołych dotychczasowych doświadczeń. Jeśli nagły, gwałtowny spadek złotego, mimo wszystko, szybko został opanowany, w pierwszym rzędzie przyczyniła się do tego zimna krew i planowe, konsekwentne zarządzenia ze strony ministerstwa skarbu. Bezwzględne opowiedzenie się min. Zdziechowskiego przeciwko jakimkolwiekbądź formom inflancji, zapowiedź półmiljardowych oszczędności, przystąpienie natychmiastowe do realizacji tej zapowiedzi, musiały wzbudzić w szerokich kołach społeczeństwa świadomość, że jesteśmy na właściwej drodze ku naprawie, na drodze ciężkiej, trudnej,wielu wymagającej ofiar, ale niezawodnej i jedynej. IGN.

WYCHOWANIE NARODOWE

I. DLACZEGO OBECNE GIMNAZJUM NAS NIE ZADAWALA

KIEDY widzimy i oceniamy wysiłki władz szkolnych, nauczycielstwa, młodzieży, widzimy współpracę wybitnych nieraz uczonych, pomagających w opracowaniu programów, dokształcaniu nauczycieli, w ocenie podręczników, czasem piszących oryginalne podręczniki o wysokim poziomie naukowym, wreszcie pomoc kół rodzicielskich, współdziałających ze szkołą w miarę możności przez udział w Kołach Opieki i t. p.; kiedy z rzetelną satysfakcją studjujemy wydawnictwo urzędowe z r. 1919 p. t. „Program naukowy szkoły średniej" i inne pokrewne; kiedy zwiedzamy z radością i dumą wspaniałe gmachy stołecznych gimnazjów państwowych im. Króla Batorego i Królowej Jadwigi—to tem boleśniej odczuwamy fakt niezaprzeczony: ogół naszych maturzystów jest zdumiewająco niewyrobiony moralnie, umysłowo, towarzysko, nie ma prawie wcale wiadomości pewnych i solidnych, wie to i owo, ale prawie nic nie umie, staje bezradnie na progu samodzielnego życia.

Dlaczego się tak dzieje? Dlaczego wyniki tak nikłe przy tak wielkim nakładzie pracy? Twierdzę, że przyczyny należy szukać przedewszystkiem *w połowiczności* przeprowadzonych dotąd zamierzeń reformatorskich, pociągacej za sobą *sprzeczność wewnętrzną* w koncepcji obecnego gimnazjum. Szkoła zaborcza stosowała normalnie metody, które z punktu widzenia nowoczesnej pedagogiki należy uznać za wprost fatalne, ale ostatecznie, dzięki metodzie przymusu, przynajmniej wbijała w głowy, co chciała; dziś oficjalnie zerwaliśmy ze staremi metodami nauczania (w praktyce osławiona heureza z wielu powodów wyjątkowo bywa stosowana w całej rozciągłości); ale nie zerwaliśmy stanowczo ze starą szkołą, narzuconą nam w niewoli — i stąd właśnie, w połączeniu ze skutkami przesadnie nieraz miękkiego traktowania młodzieży, bezowocność najchętniejszych usiłowań, a więc i szerzące się zniechęcenie, stąd apatja, nieufność do wszelkich nowinek, nawet wzdychanie do stosunków szkolnych z przed wojny, dające się słyszeć tu i ówdzie. Czynnikom decydującym brakło widać odwagi do bezwzględnego przekreślenia tego, co zostało po obcem panowaniu; a jednak było to konieczne, jeśli chciano stworzyć u nas z gruntu nowy typ szkoły średniej ogólno-kształcącej. Mogło to się dokonać, jak sądzę, tylko przez twórczą syntezę polskiej idei wychowania narodowego i nowoczesnych metod, stworzonych przez genjusz rasy anglo-amerykańskiej. Te pierwiastki godzą się idealnie w harcerstwie i mogłyby stworzyć harmonijną jednię w całokształcie naszego życia szkolnego. Ale aby ten cel osiągnąć, trzeba konsekwentnie, niezłomnie iść drogą, wskazaną przez Szczepanowskich i Gralewskich.

Dziwić się można także czemu zlekceważono zupełnie zdobycze wprawdzie skromne, lecz cenne, szkoły polskiej prywatnej w Królestwie „bez praw", zdobytej po strajku szkolnym z przed lat 20-tu i można ubolewać, że oparto się w znacznej mierze na wzorach galicyjskich. Ustrój i cała koncepcja gimnazjum austrjackiego, choćby w barwach „krajowych" (tem mniej gimnazjum pruskiego) nie da się pogodzić z polskiemi tradycjami w wychowaniu ani z nowoczesną ideą szkoły pracy. Opanowania wiedzy tak rozległej, jak przepisują urzędowe programy, przez kilka lat pracowicie układane przez liczne siły fachowe z całego państwa, nie pogodzi nikt z „pracą jaknajbardziej samodzielną" uczniów, ze stosowaniem wyłącznie metody heurystycznej; przeładowanie programów nieuchronnie wtrąca szkołę z powrotem w objęcia słusznie potępionego werbalizmu, prowadzi do złych metod nauczania, do tradycyjnego kucia „stąd—dotąd", do bezużytecznego przeciążenia młodzieży i nauczycieli. Nikt chyba nie zaprzeczy, że „Program gimnazjum państwowego" zawiera wiele zdrowych i pięknych myśli, zwłaszcza gdy mówi o celu nauczania poszczególnych przedmiotów; jest niewątpliwie opracowany z wielkiem znawstwem i nakładem pracy; ma jednak jedną wadę, śmiertelną: jest nierealny. Utrzymuję stanowczo, opierając się na doświadczeniu, że można go wypełnić przy zastosowaniu właściwych metod (nie wykluczając metody akroamatycznej!) tylko w najlepszych warunkach i tylko przy maksymalnym wysiłku. Otóż zamknięto oczy na fakt, że przeciętne warunki nauczania średniego w państwie są rzadko znośne, a przeważnie złe (nauczyciele niewykwalifikowani i najczęściej pozostawieni samym sobie, młodzież niedostatecznie i nierówno przygotowana, klasy przepełnione, pomieszczenia nieodpowiednie, brak przyrządów, brak wielu podręczników, etc.); nie wzięto też pod uwagę, że trudno, biorąc rzecz po ludzku, wymagać maksymalnego wysiłku od nauczyciela nienajlepiej wyposażonego, nie zawsze poprawnie traktowanego, a na dobitkę zanudzanego skomplikowaną formalistyką.

Z tem wszystkiem nie policzono się, jak należało; nic też dziwnego, że powstał dziwaczny konglomerat złego i dobrego—dobrych chęci i złych rezultatów.

Tak się sprawa przedstawia w dziedzinie nauczania; ale ono przecież nie wyczerpuje zadania szkoły średniej. Z trzech działów pracy w gimnazjum: wychowania młodzieży, nauczania oraz administracji, najważniejszy jest pierwszy. Tymczasem obecnie jest odwrotnie: na miejsce honorowe wystąpiły zajęcia administracyjne (kierownicy szkół państwo-

wych są niemi pochłonięci całkowicie), sprawa wychowania pozostała na szarym końcu.

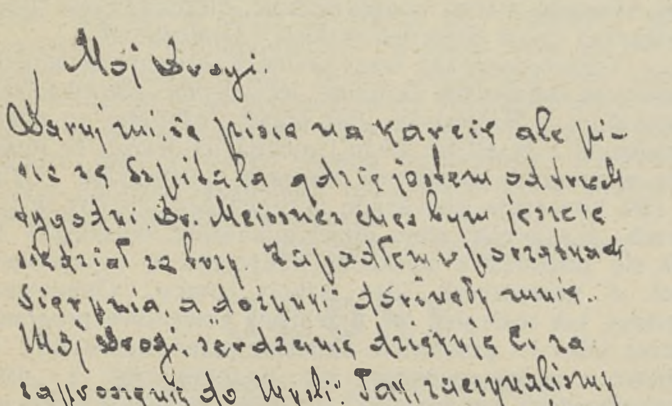
Jakiego tedy gimnazjum pragniemy w Polsce? Jaką drogą należałoby iść ku naprawie? Te pytania są dziś u nas na porządku dziennym, stanowią przedmiot ożywionych dyskusyj i urzędowych enuncjacyj. Myśli, które zamierzam dorzucić do tych dyskusyj, powstały niezależod aktualnego stanu sprawy.

BOLESŁAW GAWECKI

NAUKA I LITERATURA

WŁ. ST. REYMONT I „MYŚL NARODOWA"

Na list red. Zygmunta Wasilewskiego, zapraszający do współpracy w „Myśli Narodowej", Władysław Reymont, przebywający już podówczas w szpitalu, odpowiedział kartą, którą poniżej przytaczamy, jako drogą pamiątkę po pisarzu i człowieku:



(Mój Drogi. Daruj mi, że piszę na karcie ale piszę ze szpitala, gdzie jestem od trzech tygodni. Dr. Meissner chce, bym jeszcze siedział ze trzy. Zapadłem w początkach sierpnia, a „dożynki" dorżnęły mnie. Mój Drogi, serdecznie dziękuję Ci za zaproszenie do „Myśli". Tak, zaczynaliśmy razem i kończmy razem. I czy nie na tem zamykamy koło czem rozpoczynaliśmy? Nietylko się godzę na współpracę, ale zapowiadam, że w październiku dam Ci krótką rzecz, jaką właśnie koncypuję. W końcu września sprowadzam się do Warszawy na zimę, niechcę w tym roku jechać nigdzie, wolę zdychać między swoimi. Moja żona właśnie tam urządza nową [....] Jak jesteś obecnie ze zdrowiem? Serdecznie Cię ściskam i z całej duszy pragnę dla Ciebie zdrowia.

19/IX 1925. Poznań. Twój Wł. St. Reymont.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W połowie ubiegłego listopada zmarł w Paryżu, przeżywszy 73 lat, Elemir Bourges, jeden z tych nielicznych pisarzy, o którym bez przesady można mówić, że uosabiał honor życia literackiego. W surowej, ascetycznej wierności dla literatury i jej ideałów twórczych, trwał E. Bourges niezachwianie przez całe życie, obojętny na rozgłos i sławę, na powodzenie i zaszczyty zewnętrzne. Stroniąc od wszelkich targowisk próżności ludzkiej, tworzył dzieła swoje w skupieniu religijnem ducha, zapatrzony w ideał doskonałości artystycznej, jaki marzył osiągnąć.

Pracując przez pół wieku niemal, stworzył tylko trzy dzieła znakomite: „*Le Crépuscule des Dieux*" (istnieje przekład polski), „*Les Oiseaux s'envolent et les fleurs tombent*" i „*Le Nef*", które imię jego utrwalają na zawsze w literaturze francuskiej. Dożył sędziwego wieku, otoczony czcią powszechną starszego i młodszego pokolenia literackiego.

*

Firma Plon Nourit wydaje zbiór utworów-kronik, noszących tytuł „*Roseau d'Or*". W tej kolekcji ukazał się ostatnio przekład francuski książki znakomitego pisarza angielskiego G. K. Chesterton'a o „Świętym Franciszku z Assyżu". W tymże zbiorze wyjdzie w grudniu cały szereg krótszych utworów literackich, napisanych przez pisarzy, których zestawienie nazwisk mogłoby na pierwszy rzut oka dziwić, jest jednak zupełnie rozmyślne. Chodzi bowiem o przeciwstawienie sądów i opinij autorów zasadniczo różnych, którzy jednak wszyscy kierują się w swych utworach pobudkami wyższego rzędu, są przedstawicielami wyższego typu życia duchowego. W pierwszym tomie „*Chroniques*" zamieszczają swe utwory. Claudel, Jacques Maritain, Jean Cocteau, C. F. Ramuz, Robert Honnert, Max Jacob, Stanislas Fumet, Pierre Reverdy, Hilaire Belloc.

*

We Francji rozprzestrzeniają się coraz bardziej zbytkowne wydania, ilustrowane bogato przez młodych, oryginalnych artystów, jak Gabriel Daragnès, Chas Laborde, Gus Bofa, Falke i t. d. Ceny niektórych tych wydań, rozchwytywanych zresztą przez amatorów, dochodzą jak np. *Rien qu'une femme* przez Francis Carco, książka ilustrowana przez Chas Laborde, do 600 frs. Z początkiem stycznia ukaże się utwór p. Richard Bloch, ilustrowany przez znaną artystkę o specjalnym zresztą talencie, p. Marię Gaurencin (*Au Sans Pareil*). Fabuła osnuta jest na temacie dawnej piosenki francuskiej. Książka p. Emanuela Rancey *La douleur sur les tréteaux* będzie ilustrowana przez Louis Jou. Akcja rozgrywa się w Tulonie, a przesuwają się w niej sylwetki oficerów marynarki i wogóle barwne, ciekawe obrazy życia portowych miast. W utworze tym ma być przedstawiona w sposób dramatyczny współczesna *Dame aux Camélias*.

*

Ustaliło się poniekąd mniemanie, że Francja mało zna pisarzy obcych. Opinja ta jest mylna, bowiem, w ostatnich zwłaszcza latach, zainteresowanie literaturą angielską wzrosło we Francji ogromnie, czego najlepszym dowodem olbrzymia ilość tłumaczeń z Kiplinga, Conrad'a, Meredith'a Stevensona, Jacka London'a i t. d. Obecnie znów pojawia się szereg tłumaczeń pisarzy rosyjskich (Bossard). Do rozbudzenia ciekawości czytelników francuskich dla literatury angielskiej przyczynił się bardzo Edmond Jaloux, znany pisarz i krytyk, obok niego również Valery Larbaud. Edmond Jaloux w pierwszej serji swych *Figures Etrangères* (Plon Nourrit) analizuje twórczość najbardziej znanych autorów obcych, jak: Szekspir, Cervantes, Byron, Shelley, Turgieniew, Czechow, Meredith, Conrad, Kipling, Jerzy Moore, G. d'Annunzio.

*

Journal de Bibliographie wydawany przez Stowarzyszenie *Les amis du livre francais à l'étranger* zamieszcza list Roland Dorgelès'a, autora „*Croix de bois*" wyrażający najlepiej, jakiemi uczuciami kieruje się elita młodej generacji francuskiej, tej właśnie, która spędziła szereg lat w okopach, walcząc z Niemcami. Rozprzestrzenianie myśli francuskiej — pisze Roland Dorgelès — uczy kochać Francję. Jeżeli są tacy, którzy nas nienawidzą, to właśnie dlatego, że nas nie znają. Niechże nasi wczorajsi wrogowie przewertują francuską literaturę powojenną, a nawet w niej nie znajdą słów nienawiści. A jednakowoż uroniliśmy tyle łez, wylaliśmy tyle krwi, że moglibyśmy mieć prawo do przeklinania. Inne państwa myślą jedynie o możliwości osiągnięcia nowych rynków zbytu, nawiązania nowych interesów: Francja nie może z niemi pod tym względem konkurować. Ale w dziele rozprzestrzeniania kultury Francja nie obawia się żadnego przeciwnika. To, co ona eksportuje, nie jest na łasce giełdowych kombinacyj

i dla tego rodzaju „handlu inteligencją" wahania waluty nigdy na złe nie wychodzą".

*

„Et Nous nous sommes aimés là...", Dziwny to tytuł piewszej książki p. Matei Roussou (wydawca: Albin Michel), owianej szczególną atmosferą, jaką jest atmosfera domu warjatow. W tem otoczeniu szaleńców rozgrywa się miłosna idylla jednego z lekarzy, kończąca się tragicznym dramatem, który p. Matei Roussou opisał z prawdziwą znajomością psychologji.

*

W Zbiorze *La critique*, wydawanym przez Plon Nourrit, wyjdzie książka p. Carlo Prati *„Papes et Cardinaux dans la Rome moderne"*, do której wstęp napisał znany krytyk i znawca Włoch p. Jean Carrère. Rok święty pociągnął do Rzymu ogromną liczbę nietylko pielgrzymów, ale wogóle turystów, żądnych najrozmaitszych wrażeń, więc i tych nawet, którzy niechętnie odnoszą się do Rzymu Papieży i Stolicy Apostolskiej. Jedni i drudzy znajdą ciekawe opisy w książce p. Prati, który kreśli portrety papieży: Leona XIII, Piusa X, Benedykta XV oraz Piusa XI, podając jednocześnie interesujące szczegóły, odnoszące się do Watykanu, jego stosunków na zewnątrz, wyboru papieży i t. d.

*

Dr. Leon Bizard, który od 25 przeszło lat jest lekarzem więzienia Saint-Lazare i Prefektury policji, opowiada w *Souvenirs d'un médeicin des prisons de Paris* (Grasset) swe wrażenia i wspomnienia, odnoszące się do swych smutnej sławy klijentów, jak Villain, Duval, Lenoir, Bolo-Pacha, Mata-Hari, rozstrzelanych za szpiegostwo na rzecz Niemiec w czasie ostatniej wojny.

*

M. A. Nekloudoff, poseł rosyjski w Sztokholmie w czasie wielkiej wojny, ogłosił po francusku swoje pamiętniki p. t. *„Souvenirs diplomatiques en Suède pendant la guerre mondiale"*.

*

Tygodnik francuski *„Les Nouvelles Littéraires"* (28 listopada) umieścił artykuł o Stefanie Żeromskim, charakteryzujący jego twórczość.

W dzienniku włoskim *„Il veneto"* wychodzącym w Padwie, znajdujemy również ciepłe wspomnienie poświęcone zmarłemu autorowi „Popiołów" i „Wiernej Rzeki", pióra p. Nelly Nucci.

W listopadowym zeszycie miesięcznika rzymskiego *„La Vita Italiana"*, pojawił się przekład studjum senatora Wł. Jabłonowskiego o „Rewolucji faszystowskiej", Przekład poprzedzony jest krótką biografją autora.

Jako odbitka z miesięcznika *„L'Europa Orientale"*, ukazała się praca prof. A. Palmieri'ego o Pomorzu (*„La Pomerania Polacca"*).

*

Emil Ludwig, znany autor oryginalnej i pięknej książki o Napoleonie, wydał świeżo nową książkę, poświęconą Wilhelmowi II (*„Wilhelm der Zweite"*), która jest wymownym aktem oskarżenia i wyrokiem wydanym na eks-cesarza Niemiec.

W tem beznamiętnem, opartem na materjale historycznym, przedstawieniu żywota Wilhelma II, wygląda on, jak istota zwyrodniała, dotknięta obłędem wielkości, pyszałkowata i fałszywa, wciąż łudząca siebie domniemaną własną potęgą, oraz usiłująca nią zwodzić świat cały. „Portret Wilhelma—mówi autor w przedmowie—naszkicowany jest wyłącznie na podstawie jego własnych słów i czynów, zarówno jak i na podstawie wspomnień i pamiętników osób mu bliskich. Na stronicach tej książki nie znajduje się żaden głos obcy: wszędzie tylko głos samego cesarza, jego krewnych i przyjaciół, jego kanclerzów, ministrów i dworaków". To wszystko wszakże gorzej go oskarża, niżby mógł oskarżyć najzawziętszy jego przeciwnik.

U SŁOWIAN

Wyszły w drugiem wydaniu poezje I. Mažuranića (Suszak 1924 *„Pjesne"*). Wydał je syn, dodając życiorys ojca. Potężne utwory znakomitego Chorwata, poety i polityka, wydawca opatrzył też objaśnieniami.

*

„Poljanama slava i junastva", nosi tytuł sympatyczna książeczka J. Binickiego (Zagrzeb), wydana z okazji tysiąclecia królestwa chorwackiego. Jest to rodzaj eposu, opiewającego dzieje osiedlenia się Serbochorwatów na ich dzisiejszym obszarze i wczesne ich walki z Awarami. Epopea ma charakter wybitnie romantyczny, przypominający podobne utwory z pierwszej połowy minionego stulecia.

*

„Ksiądz Piotr" Tetmajera ukazał się w przekładzie chorwackim we wrześniu b. r. w wydawnictwie perjodycznem *„Hrvatska prosvjeta"* (Zagrzeb). Tłumaczem jest p. Franjo Conek, lektor języka serbskochorwackiego na uniwersytecie lwowskim, bardzo intensywnie pracujący dla kulturalnego zbliżenia polsko-jugosłowiańskiego. Przekład dokonany jest z dużem odczuciem artystycznem i językowem. Podkreślić należy dodanie do przekładu obszernego komentarza, wyczerpująco objaśniającego aluzje historyczne, zawarte w noweli.

*

„Sławianska biblioteka", perjodyczne wydawnictwo T-wa Słowiańskiego w Sofji zawiera (rocznik V t. 1) I. Grafenauera „Nową literaturę słowieńską" przekład z włoskiego, z uwagami prof. M. Murki. Poprzedzony informacyjną notatką o obecnym stanie ludu słowieńskiego, jest to zarys piśmiennictwa słowieńskiego zwięzły i dokładny.

*

„Wsiesławianskij kalendar" (Praga *„Plamja"* 1925) w opracowaniu J. Jeżka, F. Manswietowa, W. Ozierieczkowskiego i J. Jakowlewa. Jest to informator o stanie liczebnym, położeniu etc. emigracji rosyjskiej. Ponadto znajdują się tam artykuły o treści ogólnosłowiańskiej m. i. także i pogląd na współczesną literaturę polską.

*

Przegląd Słowiański (*Slovansky Prehled*, r. XVII, Nr. 5—6 str. 128) zawiera: Problemy polityki słowiańskiej (min. Benesz)—Wmieszanie się Bułgarji w wojnę światową — Słowiańszczyzna w pamiętniknch prez. Masaryka — Partje polityczne w Rosji w czasie wojny—Literatura serbskochorwacka ostatniego trzydziestolecia... i wiele innych dłuższych artykułów i notatek. Polski dotyczy odpowiednia część przeglądu politycznego, gdzie podkreślono cały szereg ważnych momentów z naszej polityki wewnętrznej i zagranicznej, oraz piękne studjum o zmarłym w r. 1923 poecie rosyjskim Sirotininie, gorącym naszym przyjacielu. Zeszyt ozdobiony jest 5 ilustracjami. Zaznaczyć należy, że redaktorem „Przegl. Sł." jest najwybitniejszy obecnie polonofil czeski, dr. Adolf Cerny, znany tłumacz dzieł naszej literatury.

TEATR

LAMPKA OLIWNA

TEATR Narodowy, poważnie pojmując obowiązki wobec literatury, poraz wtóry w krótkim czasie użyczył sceny poetom, nie mającym dotąd teatralnego rozgłosu. Po „Hetmanie Żółkiewskim" Brończyka wystawił „Lampkę Oliwną" Emila Zegadłowicza. Nie pamiętam w Warszawie wypadku, aby poważny wydawca, czy teatr renomowany próbował pierwszy poznać się na czyimś talencie. Wszystkie wielkie talenty, cieszące się teraz sławą, do tej sławy dochodziły przez małe redakcje. Dopiero, gdy w pióra porosły, wtedy do gotowego przychodzili kupcy. Teatry tem mniej miały znawców w kierownictwie, ale jeszcze mniej opiekunów kultury rodzimej, pokonywujących obawę ryzyka wyższem uczuciem: obowiązku wychowawczego. Teatr Narodowy przypomina czasy bajeczne początków teatru polskiego, kiedy chuchano w literaturę.

Nikt nie zliczy, ile pieniędzy marnuje się na międzynarodowej giełdzie sztuk rozgłośnych, fabrykowanych przez firmy, umiejące się reklamować (w rodzaju Jakóba Natansona), ale każde ryzyko w stosunku do talentów własnych przejmuje Warszawę zgrozą. Obowiązkiem jest instytucyj polskich (teatru, Filharmonji) ile możności wypróbować dramat, czy symfonję, gdy je napiszą polscy artyści. Coś się ryzykuje, ale stratę sowicie wynagrodzi wydobyty w takiej dobrej gospodarce talent. Tak robią gospodarze przewidujący.

Być może teatr Narodowy na Zegadłowiczu nie zrobi świetnego interesu, ale wiele dobrego zrobił autorowi i publiczności, że jego „Lampkę oliwną" wystawił. Autor w tragedji swojej, przepięknie wykonanej na scenie, dojrzał wy-

raźnie braki swego utworu; publiczność zaś zetknęła się w tem pokoleniu bodaj poraz pierwszy z życiem ludu polskiego i poezją, czerpiącą w niem natchnienie.

Tragedja Zegadłowicza ma braki. Węzeł dramatyczny, ów motyw zbrodni, nie jest dość przekonywujący. Ambitny poeta, unikając łatwizny, zbyt wiele w swoim skrócie pozostawił domyślności poetyckiej widza, przyzwyczajonego do odbierania doraźnych wrażeń. Stąd wynikło, że poemat jego odpowiednie wrażenie robi wtedy, gdy się o nim myśli potem (a pamięta się go dobrze), pełniejszy daje obraz, niż bezpośrednio na scenie. Jest więc jakaś wada sceniczna, która jednak nie uchybia poematowi samemu, będącemu rzetelnym dorobkiem poezji polskiej.

Bardzo interesujący i świadczący dobrze o zmyśle społecznym autora jest zamiar ukazania, jak tragiczny obrót nadaje życiu sielskiemu gwałtowna żądza użycia, udzielająca się ze świata szerszego, który styka się ze wsią nie duchem, lecz zewnętrzną ponętą materjalną. Owa chora na dolarową gorączkę Psyche w Beskidach, doskonale upostaciowana w Hance, nadaje sztuce myśl głęboką. Tradycyjne duchy opiekuńcze ludu, ukazujące się na scenie w chwilach grozy, gdy młodzi mordują stary porządek rzeczy dla pozornego wyzwolenia, pogłębiają perspektywę zdarzeń w głąb metafizyczną. Twórca dramatycznego poematu dyskretnie swoją myśl filozoficzną potraktował, licząc na wymowę realistycznego obrazu. Może dla tego związek wewnętrzny między rzeczywistością a drugim planem duchowym za mało się uwydatniał.

Trzeba trafu, że tegoż dnia rano, gdy przyszła wiadomość o śmierci Reymonta, wydobyłem rocznik „Głosu" z r. 1893, aby przypomnieć sobie pierwszą nowelę tego pisarza, tam drukowaną. „Śmierć" Reymonta w sposób naturalistyczny przedstawia, jak córka, przy pomocy dziecka, wyrzuca umierającego ojca do chlewa, aby tam skonał. Wieczorem widziałem na scenie w „Lampce oliwnej", jak córka umierającego ojca dusi. Dało mi to sposobność porównania dwóch talentów z dwóch epok literackich. Gdy tamto był obraz rodzajowy, tu jest ta sama rzecz już tragedją.

Świątki, zaklęte w obrazach, strzegły domu, dopokąd nie skalała go zbrodnia. A gdy opuściły przeklętą przez ojca rodzinę, wtedy stał sie koniec temu światu. Od dotknięcia zbrodniarki pada trupem kochanek, ona sama ginie w płomieniach. A żagwią był ogień z lampki oliwnej, która przyświecała cnocie pokoleń. Kamień nie pozostał na kamieniu.

Z. W.

LOJALNOŚĆ

Po przedstawieniu „Lojalności" Galsworthy'ego wychodziliśmy z teatru Polskiego jak osmagani. Sztuka miała na celu przekonać nas, że my (cywilizacja zachodnio-europejska) przegraliśmy proces przed trybunałem historji. A zarzucono nam — ani mniej ani więcej — złodziejstwo. Żyd wygrał proces.

Jakże wygląda schemat sprawy? Było, prześwietna Historjo, tak. Bardzo cywilizowane (arystokratyczne nawet) towarzystwo dopuściło do swego grona Żyda zbogaconego, syna handlarza dywanów, de Levisa. Przyjmowano go na zamku u lorda Vinsora, trzymał konie wyścigowe. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie wyczucie Levisa, że jednak jest w tym świecie uważany za obcego. Nie miał na to faktów innych, chyba ten jeden, że sam uważał ten świat za obcy. Wybuch psychologiczny nastąpił na tle zatargu o dobro materjalne.

Jeden z przyjaciół arystokratycznych nie wiedział, co zrobić z koniem wyścigowym, który się źle spisywał i ofiarował go Levisowi. Ten go przyjął i wiedział, co z koniem zrobić, bo Żyd, jak się do czegoś weźmie, to zrobi dobrze. Koń okazał się doskonały w jego rękach. I to był powód pewnej niechęci dawnego właściciela do Levisa; niechęć ta wzrosła, gdy Levis konia spieniężył. Ale arystokrata lubił pieniądze. Nie lubił pracować, do gotowego zaś (do gotówki) się kwapił. Nie umiał pracować głową, jak Levis, ale miał dobre sportowe mięśnie i tych użył do pokonania Żyda. W zamku wielkopańskim, gdzie on i Levis byli gośćmi, upatrzył chwilę sposobną, przeskoczył z balkonu na balkon i wykradł Levisowi z pod poduszki tysiąc funtów sterlingów. To potrafił.

I oto schemat sytuacji, użyty przez niezgrabnego pisarza angielskiego za symbol. Levis ma za sobą prawo, postanawia o to prawo walczyć i to właśnie biorą mu za złe. Konwenans towarzyski (prawo historyczne) nakazywałby mu jakoby być gentelmanem. Ale on nie jest głupi: nadeszły takie czasy, że bronić trzeba swego prawa. Wszystko jedno, skąd doszedł do posiadania konia i pieniędzy. Jest to jego stan posiadania. Kpi sobie z konwenansu, który w tej sferze jest prawem i z tego, że wykluczą go z towarzystwa; wytoczy sprawę przed trybunałem i udowodni kradzież. Co z tego, że on Żyd? Tamten aryjczyk — jest złodziej. Nad trupem moralnym złodzieja radzi skompromitowane towarzystwo.

— Uciekaj do Maroka! „Wojna jedyny dla takich ludzi ratunek".

A ktoś inny dopowiada:

— A może lepiej do domu obłąkanych.

Arystokrata wybiera samobójstwo, bo jest romantykiem. Pal go djabli!

Nie wiadomo dla czego sztuka Galsworthy'ego przybyła do nas do Polski. Chyba dla pokazania stanu obecnego umysłów w Anglji, spustoszonej moralnie przez Lloyda Georgea. U nas w Polsce źle jest, ale Polak nie ważyłby się jeszcze na taką konstrukcję prawdy o naszych gościach, jakoby ofiarą byli rabunku ze strony autochtonów i że nareszcie przybywa im na pomoc Prawo. Pokazało się, że na sam kodeks towarzyski, na bezpieczeństwo w gościnnym domu liczyć nie mogą. Obyczaje wersalskie ustępują miejsca prawu wersalskiemu (z Kongresu). Liga Narodów będzie trybunałem, gwarantującym prawa nabyte przez Żyda. Władanie faktyczne odtąd uświęcone będzie prawem. Warjaci praw historycznych — niech idą do szpitala, awanturują się w Maroku, lub kończą samobójstwem. Przeżyła się się legenda autochtonizmu.

Anglik (jeśli to Anglik) może miał jaką podstawę upostaciować stosunek Anglika do Żyda w fakcie złodziejstwa. Ale dla czego Żydzi u nas mają sądzić (według naszego poklasku dla sztuki), że nasz stosunek jest taki jednostronny i do tego z tej strony? Teatr Polski zostawił tradycjom Bogusławskiego eksperymentowanie dekoracji i kostjumów, sam zaś eksperymentuje nowe idee. Klub zaś literacki, rezydujący w Zamku, — jak widzę z dzienników — wkrótce ma przyjmować owacyjnie p. Galsworthy'ego, szermierza tych idej. Robota idzie.

O wartości artystycznej sztuki trzeba to powiedzieć, że wygląda tak, jakby pisana była na film dla propagandy żydowskiej, ale że akcja mało efektowna, więc kino ją odrzuciło. Zdaje się, że coraz częściej teatr karmić się będzie odpadkami kina.

Wystawiono rzecz starannie. Grano dobrze.

Z. W.

WYDAWNICTWO „MYŚLI NARODOWEJ" uprasza Sz. Czytelników, aby zechcieli jaknajprędzej uregulować należność za kw. IV i zamówili prenumeratę na kw. I 1926 r.

NA MARGINESIE

Żyjemy w epoce pacyfizmu. Hasła pacyfistyczne szerzą się, zwyciężają. Ostatnio mamy do zanotowania nowy ich triumf, entuzjastycznie witany przez świat cały, jako zapowiedź nowego pokojowego współżycia narodów: jest nim zniesienie (wskutek ratyfikacji umowy locarneńskiej) istniejącej od czasu traktatu Wersalskiego kontroli zbrojeń niemieckich...

*

W dniu pogrzebu Reymonta na wielu domach czynszowych widzieliśmy chorągwie biało-czerwone, te same, które powiewają w rocznice radosnych zdarzeń historycznych.

Dowodzi to bezmyślności właścicieli kamienic.

Polecono im w swoim czasie wywiesić flagi na znak radości z powodu powrotu do Polski prochów Sienkiewicza; polecono im wywiesić je w dniu triumfalnego pochodu trumny żołnierza bezimiennego, będącej symbolem nieśmiertelności bohaterstwa—wywiesili je więc również w dniu żałobnym, w którym należało wywiesić flagi czarne, a sztandary oficjalne opuścić do połowy masztów.

Czyż na znak żałoby godzi się — uśmiechać?

*

W „Rzeczypospolitej" ukazała się pod tytułem: „zostawmy internacjonalną sztukę bolszewikom" — notatka, w której przytoczono list niejakiej p. J. Koralewskiej, wyrażającej zdumienie, że komitet „tygodnia akademika": „która to impreza cieszyła się wyjątkowem powodzeniem, użyła do reklamy plakatów w stylu bolszewickim". W dalszym ciągu notatki redakcja „Rzeczypospolitej" po zaryzykowaniu fałszywego zresztą przypuszczenia, iż uczniowie szkoły sztuk pięknych mieli pobrać za wykonanie tych afiszów wysokie wynagrodzenie, kończy uwagą, że na przyszłość do reklamowania przedsięwzięć organizowanych przez „zdrowy element narodowy, jakim jest w istocie klan (!) akademicki, należałoby używać plakatów nie tak rażąco internacjonalnych".

Mniejsza o poglądy estetyczne „Rzeczypospolitej" i jej poczciwych czytelniczek, gorsze już są karygodne insynuacje pod adresem doskonale prowadzonej warszawskiej szkoły sztuk pięknych ale szczytem... lekkomyślności nazwać trzeba krytykę afiszów „tygodnika akademika", ze strony pisma, ośmielającego się jednocześnie zamieszczać ilustracje, których treść zmusza prokuratora do wytoczenia pismu sprawy o obrazę urzędów państwowych, a strona estetyczna.. No, o tem lepiej wogóle nie mówić.

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY ZAGRANICZNE

W Londynie podpisane zostały umowy locarneńskie przez przedstawicieli Anglji, Belgji, Czechosłowacji, Francji, Polski, Włoch i Niemiec.

Parlament francuski większością 257 głosów przeciwko 229 uchwalił projekty ustaw w sprawach finansowych, zgłoszone przez nowy gabinet Brianda.

Dotychczasowy dyrektorjat wojskowy w Hiszpanji zastąpiony został przez cywilny gabinet ministrów, na którego czele stanął gen. Primo de Rivera.

Rząd dr. Luthera podał się do dymisji. Prezydent Hindenburg rozpoczął rozmowy ze stronnictwami, proponując utworzenie gabinetu na podstawie t. zw. „wielkiej koalicji", (od niemieckiej partji ludowej do socjalistów).

Rząd angielski złożył Izbie Gmin do ratyfikacji ustalenie granicy między północną i południową Irlandją.

Rada Ligi Narodów rozpoczęła swą serję grudniową od rozpatrzenia zatargu granicznego bułgarsko-greckiego.

Przesilenie rządowe w Czechosłowacji nie zostało dotychczas zakończone. Prawdopodobnie na czele nowego rządu stać będzie Svehla, tekę spraw zagranicznych zatrzyma dr. Benesz.

Wskutek przedłużającego się kryzysu rządowego na Łotwie prezydent republiki łotewskiej zaproponował utworzenie nowego gabinetu przedstawicielowi frakcji polskiej, p. Wilpiszewskiemu. P. Wilpiszewski odmówił ze względów zasadniczych, oświadczając, iż jego zdaniem szefem rządu na Łotwie winien być jeden z przedstawicieli narodowych stronnictw łotewskich.

SPRAWY WEWNĘTRZNE

W Poznaniu odbył się czwarty powszechny zjazd historyków polskich. Przewodniczył prof. Br. Dembiński.

W Warszawie uroczyście obchodzono dziesięciolecie „Polskiej Ligi Wojennej Walki Czynnej", utworzonej w r. 1915 celem walki zbrojnej po stronie państw koalicji przeciwko Niemcom.

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

wychodzący w Warszawie pod redakcją **Z. Wasilewskiego**.

Redakcja
Marszałkowska 153
tel. 25-45.

Konto czekowe
na PKO
nr. 3.105.

Adminisracja
Al. Jerozolimskie 17
tel. 11-90.

PRZYJMUJE PRZEDPŁATĘ NA KW. I 1926 R.

z dostawą **8 zł.** kwartalnie.

Półrocznie zł. 16. — Za granicą kwart. zł. 12. — Prenumeratę przyjmuje na prowincji każdy urząd pocztowy.

W ostatnim kwartale w „Myśli Narodowej“ pisali:

Bolesław Bator
Henryk Batowski
Tadeusz Bielecki
Józef Birkenmajer
Ludwik Jaxa-Bykowski
Ignacy Chrzanowski
Stanisław Cywiński
Roman Dmowski
Stefan Dobrzański
Wacław Filochowski
J. A. Gałuszka
Bolesław Gawecki
Stefan Godlewski
Juljan Ejsmond
Adam Fischer
Gabrjel T. Henner
Janusz Herlaine
Józef Hłasko
Zdzisław Jachimecki
Jan Kasprowicz
Leszek Konopacki
Władysław Konopczyński
Jan Kornecki
Stanisław Kozicki
Tadeusz Makowski
Antoni Marylski
Stefan Mękarski
Stanisław Miłaszewski
Adolf Nowaczyński
G. N. Ordon
St. Pieńkowski
T. Pietrykowski
M. Piszczkowski
Pomorski (pseud.)
Zygmunt Raczkowski
Jan Rembieliński
Władysław S. Reymont
Karol H. Rostworowski
Roman Rybarski
Antoni Sadzewicz
Stanisław Szpotański
Bohdan Suchodolski
Aleksander Świętochowski
Antoni Troczewski
Zygmunt Wasilewski
Bohdan Wasiutyński
Józef Weyssenhoff
Bohdan Wydżga
Barbara Zanówna
Emil Zegadłowicz
Stefan Żeromski

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. **8**, rocznie zł. **30**, za granicą kwart. zł. **12**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.